

Konkurs na reportera „Kameny”

Redakcja „Kameny” ogłasza konkurs otwarty na reportera. Każdy z zainteresowanych konkursem proszony jest o nadesłanie dwóch prac: jednej o tematyce dowolnej oraz drugiej, która ukazywałaby aktualne stosunki między miastem a wsią w płaszczyźnie społecznej, gospodarczej i psychologicznej, stosunki nie wolne, jak wiadomo, od różnorodnych napięć i wzajemnych pomówień, negatywnie wpływających na całokształt naszego życia zbiorowego.

Prace podpisane godłem i zaopatrzone w zamkniętą kopertę z nazwiskiem autora, o objętości nie przekraczającej 10 stron znormalizowanego maszynopisu każda, należy nadsyłać pod adresem redakcji (ul. Składowskiej 2, 20-029 Lublin) do dnia 15 lutego 1982 r. (obowiązuje data stempla pocztowego).

Autorowi najlepszych reportaży organizatorzy zapewniają rocz-

ny etat stażysty w „Kamenie” — z możliwością późniejszego stałego zatrudnienia w redakcji. (Przypominamy, że o pracę w dziennikarstwie mogą ubiegać się tylko osoby po studiach wyższych).

Dodatkowym kryterium otrzymania owego etatu jest pomyślny rezultat rozmowy, jaką kierownictwo redakcji przeprowadzi z kandydatem.

Brak w materiałach konkursowych reportaży spełniających oczekiwania redakcji pod względem poznawczo-warsztatowym uchyla zobowiązania organizatorów, dotyczące pracy w „Kamenie”.

Niezależnie od tego reportaże spełniające kryteria druku będą sukcesywnie publikowane na łamach naszego pisma i honorowane według obowiązujących stawek autorskich.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone do 15 marca 1982 r.

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 22 XI 1981 NR 24 (744)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY PL ISSN 0137-7108

CENA 7 ZŁ

TRYBUNA EKONOMISTÓW

GWÓZDZ DO TRUMNY CENTRALISTYCZNEJ GOSPODARKI

Jan Waszczynski

O SKAR Lange nie owijał rzeczy w bawełnę, gdy już w roku 1956 odważył się napisać: „Gospodarowaliśmy metodami charakterystycznymi dla gospodarki wojennej”, to jest metodami polegającymi na apelach moralno-politycznych, nakazach prawno-administracyjnych, na rozmaitych środkach przymusu pozaekonomicznego. Nadużywanie tych metod, a zwłaszcza próba przekształcenia ich w trwały system, błędne utożsamianie socjalizmu z wyjątkowymi metodami okresu przejściowego, spowodowały kumulacyjne narastanie [...] dysproporcji w gospodarce narodowej. Nasilenie tych dysproporcji doszło dzisiaj do takiego stopnia, w którym prowadzi do rozprzężenia gospodarki narodowej [...] Kierowanie za pomocą moralno-politycznych apelów i prawno-administracyjnych nakazów wyczerpało swoje możliwości. [...] W tych warunkach potrzebna jest natychmiastowa akcja w celu powstrzymania i odwrócenia narastającego procesu rozprzężenia gospodarki narodowej”. („Życie Gospodarcze” 14/1956). Gdyby nie data artykułu prof. Langego, można byłoby sądzić, że napisany został w roku 1970 albo nawet w 1980.

Dzisiaj, gdy z trudem wprowadzamy, ale jednak rozstajemy się w Polsce z centralistycznym systemem sterowania gospodarką, warto dokładnie uzmysłowić sobie jego atrybuty, gdyż najskuteczniej można przetrząsnąć błędy, jeśli się je gruntownie przeanalizuje.

1 Dyspozycja z jednego ośrodka (centrum) jest niezmiernie kosztowna i mało sprawna. Albowiem centrum nie posiada pełnej wiedzy o stanie kraju (mimo monopolu w dziedzinie informacji), o potrzebach i możliwościach, o ograniczeniach i wąskich gardłach gospodarki o istnieniu tysięcy „nieurzędowych” powiązań między ośrodkami gospodarczymi itp. Przypomina to doświadczenia działań wojennych nie przy pomocy dokładnych map wojskowych, lecz globusa. Jest niewątpliwie i w taki sposób podejmować można sensownie jedynie najważniejsze decyzje o charakterze strategicznym. Decyzje bardziej szczegółowe, dotyczące działań odcinkowych, po-



Fot. Wojciech Plewiński

Tadeusz Hołuj: „Sens istnienia lewicy nie zmienił się”. — Rozmowa z pisarzem na str. 6—7

Ciąg dalszy na str. 8—9—10

Chłopi won na Madagaskar!

Z przerażeniem obserwuję narastanie antagonizmów między miastem a wsią. Coraz wyraźniejsze staje się przeświadczenie ludności zamieszkującej wieś, że przyczyną pogarszającej się sytuacji są strajki. Obraz mieszczański, jaki upowszechnia się na wsi, to zachłanny nierób, który nawet jeżeli nie strajkuje, to obja się w robocie, a równocześnie chce jeść mięso po 30 zł za kg (podczas gdy wytwarzane przez niego podczochy kosztują 250 zł) i pić mleko po 2 zł 90 gr za litr (podczas gdy litr popłuczyn, zwanych „Cytronetą”, kosztuje złotych dwadzieścia).

Z kolei ludność wiejska uważa, że chłop ąpi — na pieniędzach — a jemu rośnie. Świn odstawiać nie chce, najwyżej sprzeda po 300 zł rąbanek na targu, a jak się budzi, to przyjeżdża do miasta wykupić na kartki — które mu państwo niepotrzebnie dało — mięso, odbierając je głodującemu robotnikowi. A w ogóle to należałoby zabrać im te świnię, wprowadzić dostawy obowiązkowe, a jak się nie wywiąza, to pod sąd.

Nienawiść jest dwustronna, ale ponieważ w miastach mieszka 60 proc. ludności, okrzyk: „Bij chłopa” góruje wyraźnie nad zawołaniem: „Spalić miasta”. I tak z wolna mamy nowego kozła ofiarnego. Byli: bęwalczy, drobnomieszczański, agenci imperializmu, biskupi, syjonisci, chuligani, warcholy i masoneria, teraz doszli chłopi.

Wydawać by się mogło to wszystko zmożną senną w kraju, w którym sojusznik robotniczo-chłopski zadekretowany jest w Konstytucji. W kraju, w którym z 21 mln mieszkańców miast niemal połowa wywodzi się w pierwszym pokoleniu ze wsi. A zatem mamy do czynienia z sytuacją, w jakiej — niekiedy dosłownie — synowie lżą własnych rodziców. W większości języków słowa takie jak: farmer, fermier, bauer, landmand otaczane są szacunkiem, określają bowiem tego, który wytwarza dobra nie mające substytutu i zaspokajające najniezbędniejszą z potrzeb. Wystarczy przypomnieć modę country w USA, ideologię volkistowską, która podbiła na przełomie wieków Niemcy, siłę partii chłopskich w Skandynawii itd. W kulturze polskiej odpowiednikiem są „wytępetowane” girlsy z „Mazowsza”, dożynki, chałturnicy rzeźbiący lakierowane światełki i cała, uruchamiana od czasu do czasu „usia-susia cepeliada”. W języku — przynajmniej potoczny — rozpowszechniły się epitetów takie jak: ćwok, cham, wsiok.

Potrąfię zrozumieć (co nie znaczy: wybaczyć) wstręt do wsi, jaki ma statystyczny, półwsiowy mieszczuch. Rozumie, iż pracowała na latami propaganda, wmawiała, że wieś nie nadaje, że jedynie przemysł ma przyszłość (no i mamy 3 tys. zakładów produkujących obuwie, a proste kupię buty). Natomiast nie potrafię zrozumieć zbrojowej halucynacji, która każdemu ludziom twierdzi, iż na wsi zarabia się więcej i żyje lepiej niż w mieście. Wszystkie badania, jakie kiedykolwiek prowadzono w Polsce, obwołane czy przez GUS, IER czy tzw. „niezależnych ekonomistów”, nieodmiennie wskazywały, że to, co konsumuje mieszczański wsi, stanowi 70-80 proc. spożycia mieszczańskiego. Napisano na ten temat biblioteki. Kto nie wierzy, może np. w wydzielonych komunikacji sprawdzić, ile zarejestrowanych jest w przeliczeniu na sto rodzin samochodów osobowych w mieście (20) i na wsi (10), można również nacioczyć sprawdzić, ile domów tu i tam ma: wodociąg, gaz, c.o. czy ubikację.

Gdy wszystko to mówię, nawet zwolennicy gnębienia chłopów kiwają ze zrozumieniem głową. Ale w chwili później okazuje się, że o ni wiedzą lepiej. Każdy z nich zna jednego chłopca, co ma 150 świni, i drugiego, co sprzedał gospodarstwo, na które pracowało kilka pokoleń i kupił mieszkanie na elesemie. (Widocznie o ni by chcieli, aby po sprzedaniu domu, ziemi, maszyn, inwentarza itd. chłopu wystarczyło jedynie na cukierki). To pytam się wtedy, skąd uciekło te dziewięć milionów ludzi — ze wsi do miasta czy odwrotnie? I dlaczego to ludzie w Polsce są tacy głupi, że uciekali i uciekają od dobrobytu? Ale o ni wiedzą lepiej. Chłop rąbanek sprzedaje, kartkę bierze i wykupuje 1 m mięsa. A teraz jeszcze meble i pralki automatyczne (które będzie do rzeki podłączał) i m zabierze.

Przed wojną, za koszmarnych czasów sanacji, wojujący antysemityzm wymyślił taki plan, żeby wszystkich Żydów zwinąć i wywieźć na Madagaskar. Po latach hasło: „Żydz w on na Madagaskar” nabrało właściwego mu komizmu. W 1968 r. hasło to użyte w charakterze „czarnej propagandy” ośmieszyło, przynajmniej w oczach myślącej części społeczeństwa, nagonkę antysemicką. Dlatego dzisiaj, gdy winni są chłopi, wolam: „Chłopi won na Madagaskar”. Powinno być ich w pęczki i wio!

Ale ludzie, zastanówcie się. Jeżeli moje hasło weźmiecie poważnie, to trawę będzie mi grzyść.

emzet

P. S. Po napisaniu „ekspanu” usłyszałem w telewizji, że pewien rolnik z gminy Sorkwity dostarczał 40 tuczników, bo bardzo rząd popiera. Państwo, ja bardzo proszę, zróbmy taką gospodarkę, żeby chłop hodował i sprzedawał dlatego, że mu się opłaca, a nie dlatego że gen. Jaruzelskiemu lubi. A przynajmniej zróbmy tak, żeby w TV głupot nie opowiadano.

z notatnika

5 XI. Znow obchodzę urodziny (skromnie, kartkowo...) i ciągle już bliżej, bliżej niż dalej. Ale, stary (to do mnie!), nie rozczulać się nad sobą! „Po tysiącach lat i zaba stannie smokiem” — mówi stare przysłowie koreańskie.

Ze spraw poważnych: wczoraj Wojciech Jaruzelski spotkał się z Józefem Glępem i Lechem Wałęsą. Oficjalny komunikat jest lakoniczny, ale jedno zdanie uwypuklam: „Podczas spotkania wymieniono poglądy na temat sposobów przeciwdziałania kryzysu w jakim znalazł się kraj, jak też możliwości utworzenia Frontu Porozumienia Narodowego — stałej platformy dialogu i konsultacji sił politycznych i społecznych na gruncie zasad konstytucyjnych PRL”.

Czyżby faktycznie historyczny zwrot? Na razie sporo jest jeszcze znaków zapytania, nie tylko ten jeden...

8 XI. „Lechu” Wałęsę spotkał się niedawno z załogą zielonogórskiego „Zastalu”, gdzie odpowiadał na pytania strajkujących. Jego misja spotkała się z niepowodzeniem, strajk trwa nadal. Smutne to, ale prawdziwe. Niemniej sędzę, że warto przytoczyć jedno z pytań, które padło w „Zastalu”, i odpowiedź udzieloną przez Wałęsę (podaję za „Gazetą Lubuską”, wg relacji z zapisu magnetofonowego):

— Czy przewidujesz wcześniejsze przeprowadzenie wyborów do Sejmu i rad narodowych? Jaką „Solidarność” zajmie w tym czasie pozycję polityczną?

— Dziś, gdybyśmy się podjęli tego, mało tego, jesteśmy w stanie nawet wybrać całkowicie się nawzajem. Jesteśmy wielką siłą, porównującą. Możemy nawet przejąć, przewrócić władzę, chyba że czolgi nam przeszkodzą. Ale gdyby nie było eksportu jakichś sił, to jesteśmy w stanie to zrobić.

A jednocześnie naprawdę nie chcemy. Dlatego, że oczywiście przez pięć, dziesięć lat, by nam się dobrze wiodło, jednocześnie po dziesięciu latach byłbyśmy gorszym systemem, prawdopodobnie gorszym, jak ten jest. I dlatego my mamy robić, żeby się te błędy nie powtarzały. Mamy organizować inne grupy, tak jak samorządy, jak jeszcze inne, po to, aby rozszerzyć demokrację. Jednocześnie bronić się samym przed sobą. Przecież pamiętajmy, że my za dziesięć lat będziemy też skompromitowani wczoraj, wiliami, samochodami się obstawimy, ale tam się zawsze coś przykrył, dlatego niedobrze by było, gdyby do tego doszli.

Ja proszę was, i wszędzie proszę, już dzisiaj jest czas na to, żebyśmy zaczęli siebie kontrolować. Kontrolować naszych działaczy i nie mają w mieszkaniach, jakie mają konta i jak się bogacą. Już powinni być komórki tak dopasowane, żeby to robić. Jeśli spadniemy, albo nas wyrzucą, albo nawet normalnie zjedziemy, należałoby nas znow sprawdzić, czy nie za dużo kont, samochodów.

A więc budujmy struktury, bo najprościej jest przewrócić, obalić. Jest to bardzo proste. Jednocześnie jak nie ma nowej, gwarantującej lepsze rozwiązania, to jest źle i tak by było właśnie z Sejmem. Oczywiście, że już dzisiaj wygramy w tych wyborach część porządnych ludzi, dobrych fachowców. Są obawy, że trzeba będzie zataić nawet pochodzenie czasami. Oczywiście wiemy, i to jest niebezpieczne, ale jeszcze w tym etapie nie ułoży się wszystko dobrze. To jest walka na pokolenia, to co my zaczęliśmy.

Jednocześnie pamiętajmy, nie popełniajmy tych błędów i już przed sobą się zabezpieczajmy. My jesteśmy groźni, jeszcze groźniejsi, bo my jesteśmy uczniami tego systemu i my wiemy, jakie oni błędy popełniali. My, gdybyśmy mieli dziś areszty, więzienia i inne, może nie dziś, ale za rok, za dwa, to byłibyśmy gorszymi, aniżeli ci, co są. Tak jest, proszę państwa, ja jestem sam, ale widzę i wiem, do czego byśmy doszli. Dlatego będę budował szybko coś, żeby mnie kontrolowało. Bo mnie już też się podobała ładne dziewczyny, ładne samochody. Wiem, że następni będą to samo robili...

Przemówienie spisane z taśmy brzmi chropowato, niemniej kiedy Wałęsa mówi o tych działaczach, których należałoby kontrolować, przypomina mi się znow przysłowie koreańskie: „Ledwie wsłazie na konia, a już chce mieć sługę jak rycerz”. No i inne: „Gdy uciekniesz od wilka, zjawi się tygrys”.

9 XI. NZS i „Solidarność” z UMCS-u oraz Akademickie Centrum Kultury zorganizowały sesję

naukową (można to tak nazwać) poświęconą Październikowi 1956 roku. Dobór prelegentów był dość znamienity: obok Stefana Staszewskiego — Adam Michnik, obok Jerzego Morawskiego — Jan Józef Lipski, obok Władysława Bieńkowskiego — Krzysztof Wolicki. Obrady trwały dwa i pół dnia, a ponieważ poszczególni mówcy chcieli się wygadać, nie starczyło już czasu na zapowiedzianą dyskusję. W sumie więc strzelano do jednej bramki i przez to „mec” nie był zbyt ciekawy. W programie zapowiedziano wykład prof. dr Andrzeja Burdy na temat praworządności, niestety, wykład pozostał na papierze. Rozmawiałem na ten temat z prof. Burdą. Oświadczył, że na początku października br. zwrócił się do niego w tej sprawie jeden ze studentów. Ponieważ student ów nie znał jeszcze dokładnego terminu sesji, ustalono, że szczegółowo ustalili się pod koniec miesiąca. Do spotkania jednak nie doszło, natomiast kilka dni przed zaplanowaną sesją prof. Burda otrzymał... zaproszenie na sesję. Program głosił, że wykład prof. Burdy przewidziany jest na niedzielę, 8 bm. Organizatorzy postąpili po szczeniacku, zwłaszcza, że uprzednio nie poinformowali, w jakim to towarzystwie ma prof. Burda wystąpić. Nic więc dziwnego, że teraz spotkali się z odmową: pewne formy grzecznościowe nie przeżyły się nawet... w dobie odnowy.

Michnik, Staszewski, Wolicki... — że poprzestane na tej trójce — przedstawiali swój punkt widzenia na Październik 1956 (i nie tylko na Październik) bardzo, delikatnie mówiąc, jednostronnie. Sytuację mieli o tyle ułatwioną, że na sali znajdowała się w ogromnej większości młodzież, której wówczas nie było jeszcze na świecie, i której w szkołach podstawowych i średnich wiele na ten temat nie mówiono. W klimacie powszechnej negacji łatwo znaleźć poklask, ważniejsze stają się słowa niż osoba, która je wypowiada. Można poszperać w archiwach i zobaczyć, co w latach stalinowskich pisywał Wolicki, co mówił Staszewski na III Plenum KC w listopadzie 1949 roku. Prawda — ludzie się zmieniają, tak jak i czasy się zmieniają, ale jeśli piewca czy rządzący w okresie stalinowskim zjele patologizną nienawiścią do okresu gomułkowskiego czy gierkowskiego, które to okresy — cokolwiek by się o nich powiedziało — różniły się od tamtego jak dzień różni się od nocy, zalecałbym większą wstrzeźliwość w składaniu rąk do oklasków!

Słuchając „wykładów” wspomnianych osób to ja zachowałem niezależność, a nie ci, którzy w kłapach noszą znaczki z napisem „NZS”. Chociaż raz rozeźmiłem się szczerze, kiedy Staszewskiemu pomyliły się literki i zamiast „e n z e t e s” powiedział... „e n z e t”!

„Wykład” Wolickiego na temat wydarzeń węgierskich w 1956 roku był tak płytki jak płytka jest Bystrzyca w porównaniu z Dunajem. Taki subiektywizm można było wykazywać przed ćwierćwieczem, ale nie dzisiaj, kiedy powszechnie są dostępne obszerne dokumenty. Wolicki nawet zapomniał, co sam pisał w 1956 roku na łamach „Przeglądu Kulturalnego” (nr 49 z grudnia). Znalazły się tam takie np. myśli: „...kraje, w których nastąpiło uspołecznienie środków produkcji, nie znajdują się na księżycu. W swoich stosunkach z krajami kapitalistycznymi, a zwłaszcza z mocarstwami imperialistycznymi, każde z naszych państw występuje w dwójakiej roli. I w klasycznej roli państwa, elementu światowej gry sił międzynarodowych — i w nowej roli reprezentanta interesów ruchu robotniczego. Jedyną polityką zagraniczną, która pozwala tej dwójakiej roli sprostać, jest polityka umacniania pokoju światowego. Przeto musi to być naczelną kryterium naszej polityki zagranicznej”.

Pokój światowy umacnia się m. in. przez pokój wewnętrzny. „Wykład” Wolickiego służył celom krańcowo odmiennym. „Trudno jednak leżeć pod drzewem cytrynowym i czekać, by spadła zeń brzoskwinia” (przysłowie koreańskie).

11 XI. „Jedenasty listopada, lekci robić nie wypada” — pamiętam ten dwuwiersz z dzieciństwa. Niestety, w latach powojennych „nie wypadało” również obchodzić samego święta, jako że rocznicę tę kojarzono przede wszystkim z powrotem Piłsudskiego z magdeburskiej twierdzy. Jeśli już czczono, to raczej rocznicę wcześniejszą o kilka dni — rocznicę powstania ludowego rządu Daszyńskiego w Lublinie. Jak go zwał, tak go zwał, faktem jednak jest, że głupie, wstydlive milczenie o odrodzeniu Państwa Polskiego po latach niewoli nie miało najmniejszego sensu, a pustkę wypełnił ten, który jej wypełnić nie powinien. Człowiek odbija się i dzisiaj, kiedy kurtyna zapomnienia została zdjęta.

Na placu Litewskim odbyło się więc kilka uroczystości przed znajdującymi się tu pomnikami. W oficjalnej uczestniczyli gospodarze województwa i miasta, w dwóch „nieoficjalnych”, niestety, nie tylko działacze „Solidarności”. Małuczko, a usłyszeliśmy okrzyk: „Wodzu, prowadź na Kowno!”.

Trudno jest kląć podwaliny pod Front Porozumienia Narodowego, kiedy z trudem pękają barykady wzajemnej nieufności. A są przecież tacy, którzy wszelkimi siłami starają się wznosić nowe przeszkody. W każdym bądź razie — kładąc podwaliny — baczmy na sieroty po tych, co to na Kowno, zwłaszcza, że te sieroty są mocne w gbie, ale bardzo słabe w historii. Ale kto w końcu miał łech tej historii nauczyć — przynajmniej samokrytycznie! „Sami śpiewali i sami się oklaskiwali” — mówi przysłowie koreańskie. Na naukę historii czasu było więc niewiele...

12 XI. Zmity propagandą kleski, dochodzę do siebie po lekturze amerykańskiego „Christian Science Monitor”. W numerze z 10 bm. znajduję takie zdanie: „Pomimo pesymistycznych ocen Polska nadal dysponuje wielkim ekonomicznym potencjałem. Aczkolwiek prawdą jest, że niektóre z projektów ekonomicznych Gierka, jak np. Huta Katowice, stały się symbolem ekologicznej, gospodarczej i finansowej katastrofy, to wiele z przemysłowych projektów realizowanych we wczesnym stadium okresu Gierka produkuje wysokiej jakości artykuły i jest w pełni wykorzystanych. Patrząc w przyszłość, należy uznać, iż zasoby naturalne Polski — węgiel, miedź i siarka — reprezentują solidny potencjał eksportowy. Ostatnie odkrycia ropy i gazu w rejonie bałtyckim mogą mieć pozytywny wpływ na bilans płatniczy Polski. Jednak głównym atutem Polski jest jej wysoko wykwalifikowana siła robocza, mocna kadra techniczna. Przy zastosowaniu właściwego systemu bodźców siła robocza w Polsce może być wydajna. Jak na razie, istniejący system stworzył w Polsce zbyt wielu inżynierów i techników, a zbyt mało ludzi odpowiedzialnych za koszty produkcji i zyski. Dyrektorzy polskich fabryk i inżynierowie zupełnie nie rozumieją, że realizacja przedsięwzięcia musi przynosić zysk...”

Słowem — uczmy się choćby od diabła. W tym miejscu przytoczę przysłowie koreańskie pasujące do nas jak ulał: „Czy może lecieć dym z komina, gdy w piecu się nie pali?” Nie tylko zresztą to. Warto zapamiętać i takie: „Czy Budda będzie gruby czy chudy, zależy to od rąk rzeźbiarza”.

Budda to Polska, a rzeźbiarz to my!

Naszkicowałem ten tekst przysłowiami koreańskimi. Dlaczego koreańskimi? Bo właśnie miałem je pod ręką („Z krańców Azji”, wyd. Wiedzy Powszechnej z 1967 r.). W przyszłości sięgnę do innych przysłów. Są one przecież mądrością narodów!

M. A. Jaworski

„Nie wierzę w sojusz miasta ze wsią“...

— Panie R., „Kamena” zajmuje się sprawami dość odległymi od rolnictwa, ale wszystkim już tak uprzykrzyli się biuś ser chudy i kłuski na mleku, że postanowiliśmy zasięgnąć informacji z pierwszej ręki, od rolników. Chcemy dowiedzieć się, kiedy mniej więcej można będzie kupić kawałek chleba i inne rzeczy. Czy domyśla się pan, jak na pana trafili, gdy zaczęli szukać rozmownego rolnika w waszej gminie?

— Wiem. Kazali do mnie. Nazywają mnie „ministrem”. Ale ja nie wiem, kiedy będzie mięso w sklepach. Pogadać możemy, tylko niech pan powie, co to takiego ta „Kamena”? Nie czytałem.

— Nie szkodzi. Nazywają nas piśmie społeczno-kulturalnym, piszemy przeważnie o kulturze, ale i o wszystkim, co nam wpadnie w ręce.

— Muszę kiedyś kupić. Ale w naszym kiosku w gminie jakoś nie widziałem takiej gazety...

— Też nie szkodzi. Wróćmy do sprawy. Na początku chciałbym się dowiedzieć, jaki z pana gospodarz: mały, średni, czy kulaś. Jak to dawniej nazywano większe gospodarstwa?

— Też kulaś. Za Bieruta mój ojciec był kulaśkiem, wrogiem ludu. Ja mam dokładnie ten sam po ojcu areal: 12 ornego i dwa łaki.

— Ale już nie kulaś.

— Dalej kulaś. Nic się nie zmieniło. Bogatszy gospodarz zawsze będzie dla was, miastowych, kulaśkiem i zawsze będziecie kombinować, jak by mu tu przyłożyć, tylko inaczej będziecie go nazywać. Ma pan samochód?

— Nie mam.

— A ja mam. I szlag pana trafia, jak pan widzi, że na chłopskim podwórzu stoi samochód, ciągnik, ładny dom. Kulaś.

— Nie trafia mnie żaden szlag. Gdy chcę jechać, zamawiam samochód służbowy z kierowcą i jadę.

— Na grzyby też?

— Nie jeżdżę na grzyby służbowym samochodem.

— Nieważne. Żeby utrzymać siebie, gazetę, kierowcę i samochód już wy tam coś wymyślicie i zadne tam samofinansowanie wam nie zaszkodzi!

— Panie R. Nie kłómy się. Gość w dom.

— Zartowałem. Włóż tak: mam 6 krów, 3 jalo-wice, osiem tuczników i prośną maciorę. Ze sprzętu: starą czterdziestkę, przyczepę, kopaczkę ziemniaczaną, rozrzuśnik i roztrząsacz. Dojarkę elektryczną.

— Jakby pan dziś chciał to wszystko sprzedać, razem z gospodarstwem, ile by trzeba wypłacić?

— Jakies piętnaście tysięcy dolarów, licząc po 350 zł dolar.

— Dlaczego nie złotych?

— Jakich złotych?! Przecież ten kraj żyje bez własnego pieniądza! Pieniądz nie istnieje! Myśli pan że jakiś chłop sprzeda kawałek ziemi czy maszynę? Trzyma, czeka. Jak nie ma pieniądza, nie ma handlu. Teraz jest tak: ja tobie dam to, ty mnie tamto. Nie jest tak?

— Może. Ale to cholerny majątek, piętnaście tysięcy!... To złości rolników w mieście...

— Na pewno nie złości tych, co wyszli ze wsi, a takich jest chyba połowa. Nie złości też takich, co potrafią liczyć. Ta ziemia, te maszyny, te krowy, to one nie są moje. To mój warsztat. Niech rolnik spróbuje sprzedać tokarnię, na której robi. Więc trzeba liczyć jako moje tylko to, co zarobiłem, co mogę sprzedać bez uszkodzenia warsztatu. No to co mogę sprzedać? Mogę dwa, trzy hektary, dwie, trzy krowy, ale żadnej maszyny, bo ich mam za mało. To jak tak, to ja wcale nie bogacz. Mogę sprzedać fiata, owszem, ale jak pomyśleć, że w mieście jest sto razy więcej fiatów niż na wsi, to na złość nie sprzedam, chociaż miałby stać w pokrzywach!

— Kiedy pan pobudował dom, oborę, stodołę?

— O właśnie, o właśnie! Od tego trzeba było zacząć! To jest harówka całych dwóch pokoleń! Ja to wszystko budowałem, ale na to przez trzydzieści lat pracowali moi rodzice i ja sam od małego. Mam czterdzieści lat. Młody rolnik. Ale jestem już tak usiepany, że ja mam tak naprawdę ze sześćdziesiąt. Przez lata ciułało się pieniądze, cegły, betonu, wszystko jak psu z gardła, do budowy tylko sam murarz, wszystka robota moja, rodziców i później, jak się ożeniłem, mojej żony. Jak rodzice podupadli na zdrowiu, to jeszcze pilnowali dzieci, obrządzili, gdy my w polu. Byłem jedynakiem i całe 12 ornego mnie przypadało, z nikim się nie dzieliłem. Ale niech pan teraz postawi się w miejscu takiego chłopaka, co ożeni się i zostaje na gospodarstwie, a budynki stare, maszyn nie ma, do spodka czai się siostra czy brat w mieście. Będzie pruć się przez całe życie i dopiero jego syn może zacząć zarabiać na gospodarstwie. Zarabiać, a nie ładować jak w worek, w nowe budynki, maszyny, sprzęt, meble. Parę domów dalej jest taki. Sam z matką, osiem hektarów w pięknym kawałku, chałupa drewniana i stara obora. Rwie się do roboty, ale nie ma nic, nie kompletuje, tylko stara kobyła, dwie krowiny. Nie wytrzyma. Jak dostanie kredyty, to nie dostanie ciągnika, cementu, kupi innych rzeczy. Upadnie, przegra, nawet dziewczynę na żonę nie może znaleźć bo każda wie, co ją czeka.

— To znaczy, że teraz na wsi są bogaci i biedni, ci co nie dorobili, i tacy, co będą budować przez dziesiątki lat?

— Nie. Są tacy, co stanęli na nogi, jak ja, ale nie byli i nie są bogaci. Bo nie ugrzązli tej ziemi, nie sprzedają inwentarza. Niech pan zrozumie, że nie ma takiego, który byłby i dobrym gospodarzem, i jednocześnie bogatym. Zaraz to panu wytłumaczę. Dobry gospodarz i dobre gospodarstwo to takie gospodarstwo, gdzie z hektara wyłazi się najwięcej. Z hektara, a nie z gospodarstwa. Ja na przykład wcale nie jestem dobrym gospodarzem! Na swoich 14 hektarach powinienem mieć kilkanaście sztuk bydła i ze dwadzieścia świń, a mam połowę.

Te trzy jalo-wice powinienem zacielić i trzymać, a ja je sprzedam. Bo ja nie muszę mieć więcej pieniędzy, to po pierwsze. Po drugie, ja z żoną już nie mamy tyle siły i chęci, żeby trzymać te trzy sztuki więcej, doić, wyrzucać gnój, ścielać, sadzić buraki na paszę. Ja mógłbym to jeszcze zrobić, ale już mi się nie chce. Jeżeli tak, to znaczy, że ja nie jestem dobrym gospodarzem, bo marnuję ze trzy hektary i te hektary powinny mi być odebrane, albo powinienem je sprzedać. Teraz znów założymy, że jestem nabuzowany siłą, chcę tyrać, chcę więcej. To ja, rzecz jasna, nie sprzedaję tych jalo-wek trzymam, a jak się wycieła, to trzymam ich cielecia. Jak te cielecia dorosną, to dopiero je sprzedam, bo już nie wyciągnę więcej z 14 hektarów. To będzie za trzy lata, bo tyle trzeba będzie czekać. Jak już się do-czekam tych pieniędzy, to znów będzie pytanie, co z nimi zrobić. Jak jeszcze wtedy będę miał siły i chęć do roboty, to dokupię hektar i znów powiększę stado. Albo zrobię inaczej: włożę forsa do worka, kupię telewizor kolorowy, żonę futro. Tylko że wtedy przestaję być już dobrym gospodarzem. bo stanę w miejscu. I teraz pan rozumie: dobry gospodarz to taki, co stale zarobione pieniądze ładuje w warsztat. Ja, na ten przykład, myślę o kupieniu ładowacza obornika, bo gnój to najstraszniejsza robota w gospodarstwie. Jak kupię ładowacz, w co nie wierzę, bo go nie ma, to będę miał ładowacz, ale dalej nie będę miał pieniędzy.

— A co pan ma teraz?

— Teraz jest najgorsze, co tylko być może w rolnictwie. Teraz są pieniądze, to znaczy papierki, są chęć i siły, ale nie ma niczego do kupienia, ani maszyny, ani telewizora kolorowego. Więc teraz nie ma żadnej potrzeby, żeby zwiększać produkcję. Żadnej! W gazetach i telewizji trzęsie się o nieopłacalności hodowli świń, ale nie się nie mówi o tym, że opłacalność to jeszcze nie wszystko. Po co ja mam więcej hodować, jak nie za te więcej wieprzków nie kupię, tylko dostanę garść papierków? A świnia nie czeka, jak urośnie, to trzeba z nią uciekać, bo będzie darmo żarła.

— To co pan robi ze swoimi tucznikami? Po ile wazą?

— Mają po sto, sto dwadzieścia. Trzeba sprzedać.

— Komu?

— Na pewno nie państwu po 110 złotych. Stąd do Lublina jest 12 kilometrów i nie ma dnia, żeby ktoś nie przyjeżdżał po wieprzka. Będę trzymał ręce w kieszeni, jak sami rozbiórą wieprzka i zapłacą po 200 złotych żywcem, a przed Bożym Narodzeniem dojdzie do 300. I dlatego ludzie w mieście klną na chłopów, że drą skórę, a chłopci klną na rząd, że nie robi z tym wszystkim porządku.

— To znaczy jakiego porządku?

— To dłuższe gadanie. Po pierwsze, zmarnowali ponad pół roku! Co rząd zrobił od wiosny dla rolnictwa? Już nie mówię o maszynach i materiałach, ale o cenach i sposobach handlu. Z ceną trzeba było ruszać wcześniej, z obydwojną, z tą pierwszą, na osiemdziesiąt parę złotych i z tą drugą, na 110. Obydwie były za późne i za niskie, ale tak było zawsze: podnosili cenę dopiero wtedy, gdy była katastrofa. Przecież na kilka tygodni przed drugą podwyżką sam słyszałem w telewizji od jakiegoś ministra, nie pamiętam którego, teraz w telewizji aż gęsto od ministrów — że nie planuje się żadnej podwyżki cen skupu, a potem bęc, 110 złotych. „Solidarność”, ktoś mi to mówił, proponowała 120, ale obie były za niskie. Należało zrobić tak jak z mlekiem — od razu duża cena i z mlekiem mają spokój do dziś. To znaczy trzeba było od razu wainęć skup na jakieś 150 złotych. Ale to by sprawy nie rozwiązało, bo jak nie ma co jeść, to państwo nie wygra konkurencji z czarnym rynkiem, jak da 150 złotych, to spekulanci i w ogóle ci, co chcą cośkolwiek włożyć do garnka, dadzą 200, jak państwo da 200, to oni 250. Myślę, że należało dać jakieś 150 i tego samego dnia odblokować sprzedaż mięsa na targu, z górną ceną i tej ceny pilnować. Bo cenę na jarmarku jako tako można upilnować, ale spekulacji w samych zagrodach nigdy, chociaż nawet przy sprzedaży mięsa na bazarze spekulacja w zagrodach też by istniała, ale nie taka jak teraz. Jak koldra za krótko, to coś musi marznąć.

— Czy to ważne, w jaki sposób świnia trafi do garnka, przez skup, targ czy z zagrody?

— Pewnie, że ważne. Chłop ma wygodniej i drożej weźmie w zagrodzie, ale wy na tym tracicie. W prosty sposób. Z targowiska czy ze sklepu jedną świnia pożywi się, dajmy na to, pięćdziesiąt osób przez parę dni. A tak to przyjeżdża z miasta czterech czy nawet dwóch i zabierają po połowie czy ćwiartce. Robią zapas na parę tygodni, ale tylko dla czterech rodzin, gdy czterdzieści sześć rodzin przez kilka dni nie ma mięsa. W prywatnym uboju wiele się marnuje. Wyrzucają, to znaczy — zostawiają wewnątrz, czasem nawet łeb, ogony, rapetki, krew. I nie ma skóry! Z rzeźni skóra poszłaby na buty, a tak, to dla psów lub do krupniku!

— Hehehehehe. Ale wróćmy do ceny. Czy 110 złotych za żywcio to za mało?

— Było za mało, a teraz to już nikt nie wie, ile by trzeba. Więc mówię panu: jak nie ma pieniądza, to co mówić o cenach? Co tydzień ceny są inne, wyższe. Proszę kosztuje 3,5 tysiąca i niech nie opowiadają głupot ci mądrzele, co mówią, że przecież chłop sam sobie może wyhodować prosię. Wyhoduje, ale czy za darmo? Łochę można zaprosić przy 80 kilogramach wagi, dośł czterech miesięcy, potem wychuchać miot, wykarmić... Zboże kosztuje

2000—2300, kartofle 400—500. Skórka ze wyprawką...

— Mówi pan o tych, którzy nie mają własnych zagrod i własnego zboża.

— Oni są bardzo ważni, ci z małych miast, z komórek, ze zlewów, prawie z niczego trzymają jedną czy nawet dwie świnie. Oni muszą dokupić paszy. Ta pasza nie może być droga, proszę nie może kosztować 3,5 tysiąca. Ale oni są bardzo ważni, to tysiące świń więcej! Jakaż sprawa ugotować gar paszy na kuchni, gdy i tak trzeba pod nią napalić dla obiadu czy na ogrzanie chaty? Tylko niech pan spróbuje kupić na przykład gar żeliwny do gotowania, głęboko wpuszczany w fajerkę, dawniej nazywali je saganami... Albo rury do parnika węglowego, kolanko...

— Węgla...

— Już nie mówmy o węglu, bo całą tę naszą gadkę można było zacząć i skończyć właśnie na węglu. Mówienie o hodowli tylko na podstawie takich czy innych cen, to tak jak ślanie zboża na kupki bez równego rozsypania...

— To w końcu jest to mięso, te świnie w zagrodach, czy rzeczywiście ich nie ma w takim stopniu, jak nie ma na hakach?

— Prawda jest w środku. Świnie są, hodowla się rozwija, ale nie tak, żeby już wystarczała. I nie jest tak, jak mówią puste haki. Tylko nie ma pieniądza, nie ma tysiąca innych rzeczy, żeby ta hodowla huknęła. Jest zboże, ziemiaki, dużo kiszonych z buraków i wysłodki. Jest mleko, rzeka mleka, ale generalnie musi nacisnąć właściwe guziki, bo inaczej to wszystko wyleci w powietrze. Ja nie wiem, o co tu chodzi, może jestem za głupi. Litr mleka od dobrej karmionej krowy daje mi 16 złotych, kostka masła kosztuje 20 złotych! Jeżeli tak jest przez całe miesiące i tak ma być dłużej, to jest to zimne pchanie gospodarki w przepaść. Czy pan wie, że w mojej wsi jest z pięciu takich, co rano jada do Lublina, kupują mleko po 3 złote, wlewają do konwi i odwożą do mleczarni po trzy razy drożej?

— Czy dlatego nie chce pan wyemigrować w naszą rozwinęta i swojej wsi? Przecież pod przewodnictwem „Solidarności” znają pana w całej okolicy?

— Nie tylko dlatego. Ale to inna sprawa. My tu dużo mówiliśmy o cenach, opłacalności, o maszynach, węglu. Te sprawy trzeba też widzieć pod kątem życia na wsi w stosunku do miasta. Niech pan zwróci uwagę na jedno: rząd, „Solidarność”, miasto — wy wszyscy teraz strasznie martwiecie się o rolnika, ale przecież rolnik dobrze wie, że wam chodzi tylko o żywność. Jakim sposobem wydusić z niego więcej, co mu dać, żeby chciał pracować, hodować, zostać na wsi, to dla was najważniejsze. Gdy trwoga to do Boga, a potem wszystko będzie po staremu. Ja nie wierzę w żaden tam sojusz robotniczo-chłopski. To jest sojusz rzędu z chłopem i jak tylko haki w sklepach się zapełnią, to zarazefko o nas zapomnicie, jak wiele razy już tak bywało. Zawsze będzie łatwiej żyć w mieście. Wam w mieście potrzeba teraz tylko jedzenia, to cały wasz kłopot, a wieś nie ma niczego, oprócz mordęgi od świtu do nocy. Pieniądze. Wziąłem w tym roku za buraki 150 tysięcy. Dam panu dwieście, niech pan wyprodukuje te buraki, ogłowi, wykopie, wwall na przyczepy, odwiezie, spryznuje liście, wysłodki. Żyć się panu odechce. I tak ze wszystkim. Ja nie chcę, żeby moja córka żyła tak samo jak ja. Syn też nie wróci, pracuje w FSC i wiem dobrze, że jak tylko ustanie, to trzeba będzie szybko sprzedać gospodarke.

— A jak ich zatrzymać na wsi?

— Trzeba mu zapewnić takie warunki, żeby nie czuł się jak zwierzę w kieracie. Pieniądzem młodych nie kupi, moje dzieci pieniądze już mają na całe życie. Żeby było łatwiej na wsi, musi być nie lepiej w mieście.

— To znaczy jak? Mniej zarobki i tak marnie. Brak mieszkań i tak ich nie ma...

— Nie wiem. Może małe bezrobocie? Od czego są ministrowie? Rząd, partia, „Solidarność”? Teraz wszyscy rządzą i strajkują, a chłop tyra. Wszyscy kradną, obijają się i biorą łapówki, a chłop nie ruszy się bez łapówki i jasnie łaski pana urzędnika. No niech pan weźmie na zdrowy rozum: jeżeli miasto rządzi wsią, to czy ono dopuści do tego, żeby miało mu się gorzej niż na wsi?

— Należy pan do ZSL? Do partii? Do „Solidarności”?

— Do niczego i dzieciom zabroniłem zapisywać się, dopóki ja tu rządzą! W mojej wsi jest i partia, i ZSL, po kilkunastu chłopów. Nie nie robią i nie nie znaczą, to po co mi oni?

— Widzę, że nie są bardzo nazywają pana „ministrem”...

— Nie lubią mnie w gminie, bo prawdę mówię, a we wsi... ja wiem... Taki już jestem, że staram się nie tylko łeb trzymać w jarzmie, ale trochę myśleć, nie dawać się.

— No to nie dajmy się...

Rozmawiał: Henryk Pająk

Rozmowa została przeprowadzona przed ostatnią sesją Sejmu, na której zapadły korzystne dla rolników ustalenia zmierzające do intensyfikacji skupu żywności, wszelkie poławili się już opinie, że promowanie chłopów artykułami gospodarstwa domowego (z ograniczeniem ludności miejskiej w tym względzie) może tylko pogłębić rozdźwięk między miastem a wsią.

(Red.)

PRZYJECHAŁEM nad Jezioro Genewskie. Nad szeroko rozlane wśród gór wody owe- go Lemanu, tak często opisywane przez poetów. Również — przez naszych dzie- więtnastowiecznych wieszczów. Przyjechałem do Lozanny na zaproszenie FIPRESCI, żeby uczestni- czyć w przeglądzie dorobku kina szwajcarskiego w ostatnim dziesięcioleciu, a tymczasem bezustan- nie w górzysty pejzaż kantonu Vaud wpisuje mi się... temat polski. Nie tylko dlatego, że związali się na dłużej lub krócej z tym regionem Słowacki, Mickiewicz, Krąszewski, Jeż, Sienkiewicz, Maria Dąbrowska, lecz przede wszystkim z uwagi na dzień dzisiejszy.

Szwajcaria zawsze była życzliwa Polakom. Dzia- lają także śledzi z uważnym zainteresowaniem wszystko to, co się dzieje, co tworzy się w naszym kraju. Wiedzą o nas Szwajcarzy więcej, niż my sami nawet przypuszczamy. Kiedy odlatywałem z Warszawy do Genewy, w Polsce zaczynały się właśnie obrady V Plenum KC PZPR. Już w wie- czornych dziennikach radiowych Szwajcarii można było usłyszeć informacje i pierwsze komentarze na temat Plenum. W sobotę rano, 17 października, w pokoju Hotel de Voyageurs, przysiadł przy wąskiej, staromiejskiej uliczce Grand-Saint-Jean, włączyłem radio i usłyszałem... znajomy dźwięk kurantu, wybijanego co godzinę przez zegar na gdańskiej wieży ratuszowej: pierwsze dźwięki „Ro- ty”. Jeszcze tak niedawno, w połowie września, słuchałem tej melodii z okna hotelu „Jantar” na Długim Targu, w czasie gdańskiego festiwalu pol- skich filmów fabularnych. Teraz Gdańsk przywe- drował do historycznej, pamiętającej czasy rzym- skie Lozanny. Od 8.30 do 9.00 rano szła w radiu szwajcarskim wielka audycja o Gdańsku, o jego historii, jego polskości, o jego zabytkach, o Wester- platte. Grały organy w katedrze Najświętszej Marii Panny, niósł się śpiew z kościoła św. Brygidy, płynęła nad Lemanem opowieść o polskim mieście, które przez wieki rosło w siłę i dostatek. I zawsze było przeciwne jakiegokolwiek przemocy...

Potem wyszedłem na ulicę. Na wystawie księ- garni, zaraz obok wejścia do hotelu, czerwieniła się okładka podręcznika Wandy Przywarskiej i Marii Grała „W Polsce po polsku. Cours élémen- taire de langue polonaise pour les francophones”. Na drugiej wystawie, wśród rozłożonych tomików poetyckich, wyróżniał się jeden, zatytułowany: „Miłosz”. Wstąpiłem do kiosku naprzeciwko i ku- piłem, zrosnięty od niespełna dwustu lat z tutejszą społecznością — dziennik, założoną w 1798 roku „Gazette de Lausanne”. Przez górną część kolum- ny, poświęconej wydarzeniom z ostatniej chwili, biegł złożony grubymi czcionkami tytuł: „Pologne: accord sur le gel des prix”. „Polska — zgoda na zamrożenie cen”. Wśród szeregu doniesień z Polski podano, że w piątek w Warszawie panował całko- wity spokój. Natomiast wzrost napięcia w Polsce spowodował rano lekką zmianę nastrojów na gieł- dach Zurychu i Londynu.

Casino de Montbenon zostało zbudowane przez Radę Miejską Lozanny w 1907 roku jako tzw. kursal. To znaczy — budowla rekreacyjno-rozryw- kowa dla przybywających tłumnie do Lozanny let- ników, turystów i kuracjuszy. A także dla miej- scowej ludności, która od setek lat traktowała rozległe, płaskie, porośnięte drzewami wzgórze Montbenon jako miejsce spacerów, odpoczynku i zabaw. Zaś miejscowe władze — jako, dodatkowo, teren parady wojskowych.

Wzgórze Montbenon zawieszono jest niby wielki taras nad odległym o około 1,5 kilometra Jezioro Genewskim. Widok jest stąd ogromny, panoramiczny. Po lewej stronie wznoszą się skaliste, ośnieżone szczyty Alp, u których podnóża przysiadły nad samym jeziorem perty „szwaj- carskiej Riwieri”: Vevey, Montreux, Villeneuve. Na wprost, po drugiej stronie jeziora, Alpy francuskie i słynna francuska miejscowość kuracyjna Evian. Na prawo — łagodniejszy krajobraz górski i rozlewające się coraz szerzej wody Lemanu. Gdzieś na ich krancach, za horyzontem, leży Genewa...

Ainsi, nous de Gyon
Dansons en Taveyanne
Comme ceux de Lausanne
Dansent sur Montbenon

Tak mówi jedna ze zwrotek znanej w Szwajcarii pieśni Juste Oliviera, wspominającej między innymi o romantycz- nym wzgórzu Montbenon. Casino de Montbenon miało więc nawiązywać do tradycji. Wzniesiono rozległy, seces- yjny budynek, zwieńczony wieżyczkami przypominają- cymi trochę chińskie pagody, centralną, okrągłą salę restauracyjną przykrytą kopułą. Poza restauracją i o- gromnym „spacerowym” hallem, znajdowały się tutaj liczne sale i salony. W jednej z sal koncertował na początku stulecia, zamieszkały w pobliskim Morges, Ignacy Paderewski.

Niech nikogo nie myli nazwa: Casino de Montbenon nigdy nie było — w odróżnieniu od Montreux — przy- bytkiem gier hazardowych. Rada Miejska, wznosząc bu- dynek, zastrzegła wyraźnie, że będzie on służył jedynie celom rozrywkowym w najlepszym pojęciu tego słowa znaczeniu. Odbijały się więc tutaj koncerty, organizowa- ne były zabawy i bale, można było zjeść w Casino dobry obiad, wypić filiżankę kawy lub szklankę wina. Z tarasu Casino de Montbenon można było podziwiać piękno krajobrazu, lub wyruszyć stąd w dół stromymi uliczkami na długi spacer, aż do rozłożonej nad samym brzegiem jeziora dzielnicy Ouchy — niegdyś wioski ry- backiej — i tam karmić pływające na filach łabędzie. Lub wsiąść na spacerowy, boczo-kołowy parowiec i po- płynąć w stronę Vevey i Montreux na zwiedzanie średniowiecznego, malowniczo położonego zamku Chillon.

Później... później moda na Casino de Montbenon się skończyła; skończyły się długie suknie z trenem i lekkie, chroniące delikatną cerę pięknych dam, umbrelli. Let- nicy schodzili coraz bardziej w dół ku brzegom Jeziora Genewskiego, plasując się w wygodnych hotelach i pen- sjonatach Ouchy, które wabio przystania jachtowa, chłod- nym powiewem egiptackim od wody i wspaniałym nad- brzeżnym bulwarem porośniętym platanami. Przez wieki lat budynek na wzgórzu Montbenon stał pusty i za- pomniany.

Na początku lat siedemdziesiątych ktoś wpadł na po- myśl, żeby go rozebrać, a na tym miejscu postawić gmach konserwatorium muzycznego. Kiedy miejscowym władzom konserwatorskim udało się wybronić zabytkową budowlę przed zniszczeniem, ktoś inny rzucił projekt zbudowania na stołku wzgórza ogromnego, wielopiętrowego garażu samo- chodowego. Szczęśliwie zdrowy rozsądek zwyciężył: garaż

wzniesiono w trochę innym miejscu, a co więcej, w 1976 r. podjęto uchwałę o odbudowie i rekonstrukcji Casino de Montbenon z przeznaczeniem na rodzaj centrum kul- turalnego. Lwią część pomieszczeń miało zająć FilMOTEKA szwajcarska. Jedyna tego rodzaju placówka w kraju za- założona jeszcze w 1944 roku, ale mieszcząca się w nader niedogodnych warunkach lokalowych, na Starym Mie- scie, w pobliżu uniwersytetu.

Kto zna choć trochę stosunki szwajcarskie, ten wie, że jeśli chodzi o sprawy kultury, nie szasta się tam pie- niędzmi. Oczywiście, Szwajcarzy oglądają wszystko to, co najciekawsze z dziedziny sztuki na świecie, bo mają dość pieniędzy, żeby sprowadzić do swego kraju najty- nięjsze zespoły teatralne, muzyczne, wybitnych artystów, najambitniejsze filmy. Natomiast u siebie, na miejscu, liczą każdy grosz. Dotacji na cele kulturalne wcale nie przyznaje się w Szwajcarii lekką ręką. I charaktery- styczne jest, że nie ma tutaj — w odróżnieniu od więk- zości krajów na świecie — wyodrębnionego, osobnego ministerstwa kultury i sztuki. Dotacja na rozwój sztuki filmowej jest wyjątkowo niska w stosunku, na przykład, do dotacji wspomagającej teatr i operę. Nie więc dziw- nego, że rodzimy film dramatyczny przez szereg lat w mie- scu, dając znać o sobie naprawdę dopiero w ostatnim dziesięcioleciu. Wielu reżyserów szwajcarskich kreśli fil- my za granicą, pod „barwami” francuskimi, włoskimi, angielskimi czy niemieckimi. Dlatego przeciętny widz światowy rzadko kiedy ma świadomość, że Claude Go- rretta, Alain Tanner, Daniel Schmid, Michael Sautter — to Szwajcarzy i współtwórcy nowego kina szwajcarskie- go, a Jean Luc Godard — choć urodzony w Paryżu — wychował się w Szwajcarii i swoje pierwsze kroki fil- mowe stawiał przed laty właśnie w Lozannie. Toteż od- danie przez władze miejskie Lozanny znacznej części po- mieszczeń Casina de Montbenon we władanie FilMOTECE Szwajcarskiej stało się wielkim wydarzeniem kultural- nym, a inauguracja instytucji w tej budowlę odbiła się szerokim echem w całej prasie szwajcarskiej.

Nie chodzi tylko o sam fakt uzyskania przez FilMOTEKE

Jezioro Genewskie

Pejzaż szwajcarski temat polski...

Mirosław Derecki

godziwych pomieszczeń, ale o to, że teraz ta promie- niująca na cały kraj kultura filmowa placówka będzie mogła przystąpić do prawdziwej ofensywy, mającej na celu rozwój kinematografii szwajcarskiej. Między innymi — poprzez stałe kształtowanie i podnoszenie poziomu wiedzy filmowej szwajcarskiej młodzieży.

FilMOTEKA Szwajcarska została założona w 1912 roku, ale dopiero w kilka lat później, wraz z pojawieniem się w Lozannie Freddy Buache'a, jej działalność zaczęła nabierać realnych kształtów. Dyrektor, Freddy Buache, jest dzisiaj jawnym, o niekonwencjonalnym sposobie bycia, potężnie zbudowanym panem z zawieszonym sta- ropolskim wąsem a la Waleśa. Trzydzięci lat temu, urzędujący filmem, znalazł się w Paryżu, gdzie wszedł w krąg ludzi skupionych wokół słynnej FilMOTEKI Francus-kiej. W Paryżu poznał m.in. Préverta, Franju, Sartre'a. Pomagał w organizowaniu festiwali filmowych stojących w opozycji do kina komercyjnego. Poznał Picassa. Zaprzy- jaznił się z wieloma młodymi filmowcami, którzy stwo- rzili następnie francuską nową falę. Kiedy przyjechał do Lozanny, szybko stanął na czele tamtejszej filMOTEKI. Dzisiaj jest największym ekspertem w sprawach kina szwajcarskiego (i nie tylko tego), autorem szeregu książ-ek o kinie helweckim. Wiele razy uczestniczył m.in. w polskich festiwalach filmowych, zna doskonale nasze kino i porusza się bez trudu po Gdańsku, Warszawie i Krakowie. Rozwój kina szwajcarskiego to w wielkiej mierze także jego zasługa. Dziennikarzowi zwierzył się: „En 1950, il était inconcevable de se dire, en Suisse: je veux faire du cinéma”. „W roku 1950 powiedziałem sobie w Szwajcarii: chcę tutaj kreślić filmy — było rzeczą wręcz niepojętą”. Dzisiaj widać, że warto jednak było próbować, bo kinematografia szwajcarska stała się faktem, choć mało o niej wciąż jeszcze wiadomo w świecie.

Zaczynano kiedyś prawie od zera. Dzisiaj Fil- moteka Szwajcarska ma w swoich zbiorach 7350 filmów długometrażowych, 6300 krótkometrażo- wych, 354 tysiące skatalogowanych fotosów, 20 ty- sięcy afiszów filmowych. Ponadto — zbiór 250 starych aparatów filmowych, księgozbiór liczący 8800 tomów poświęconych problematyce filmowej i ponad 50 tysięcy wycinków prasowych. Ma do swojej dyspozycji salę filmową o 103 miejscach, nazwaną „Kinematografem” i mieszczącą się w przyziemiu budynku Casino de Montbenon. Służą ona do „roboczych” przeglądów, tutaj też odbywają się stałe projekcje filmów archiwalnych (ulożone w odpowiednie cykle) dla krytyków oraz dla człon-ków klubów filmowych. Premiery nowych filmów będą się odbywały w wielkiej, pięknej, mogącej pomieścić 500 osób Sali Paderewskiego — nazwa-nej tak po ostatnim remoncie dla uczczenia wiel-kiego Polaka, którym chlubią się także Szwajcarzy. To właśnie w tej sali koncertował niegdyś Pade-rewski.

Uroczyste otwarcie Casino de Montbenon oraz FilMOTEKI Szwajcarskiej przewidywano na ponie- dzialek, 19 października. Już jednak w niedzielę rozpoczęło się międzynarodowe kolokwium FIPRESCI poświęcone nowemu kinu szwajcarskiemu, przed- stawiono pierwsze filmy.

Wśród wielu nazwisk mniej lub więcej znanych, miałem możliwość zapoznać się po raz pierwszy — nie tylko ze słyszenia — z osobowością artystyczną i ze sztuką filmową Daniela Schmidta. Poza „re- trospektywnym”, fabularnym „Heute Nacht oder nie” pokazano najnowszy film Schmidta, dopiero co ukoń- czoną i jeszcze nigdzie nie prezentowaną „Notre- Dame de la Croisette” ze znaną francuską aktorką młodego pokolenia Bulle Ogier, Bobem Rafelso- nem, Jean-Claude Brialem oraz córką słynnego tancerza polskiego pochodzenia, Wacława Niżyń-skiego — leciwą lecz ekscentryczną Kirą Nijnski. Film ten wzbudził ogromne zainteresowanie pub- liczne i krytyki, był jednym z „gwóździ” fil- mowych prezentacji, zarówno ze względu na osobę autora, jak i z uwagi na temat. „Notre-Dame de la Croisette” jest bowiem fabułą robioną metodą pa-

radokumentalną (czy też może: fabularyzowanym dokumentem?), dziejącą się w czasie ostatniego festiwalu filmowego w Cannes. Bulle Ogier gra dziewczynę zafascynowaną festiwalowym bliznetem, która przyjechała do Cannes i stara się za wszelką cenę wkręcić na pokazy festiwalowe — udając już to dziennikarkę, która zgubiła zaproszenie, już to artystkę filmową, którą zaprosił zapomniany. Choć wykazuje naprawdę mnóstwo pomysłów, nie potrafi przecież zmylić czujności festiwalowej służby porządkowej i musi, chcąc nie chcąc, oglą- dać festiwal na ekranie hotelowego telewizora. Film satyryczny i smutny zarazem. Zrobiony z ogromnym „pazurem”, jeżeli chodzi o technikę fil- mowania, z dokumentalistyczną maestrią. „Wpusz- czona” w tłum, autentyczny tłum festiwalowy, Bu- le Ogier jest śledzona przez wszędobylską kamerę Schmidta i... nikt z otaczających ją osób nie zau- waża, że oto powstaje tutaj — z ich bezwiednym udziałem — film. Byłby film Schmidta tylko może- zycznym „reportażem”, błyskotliwą „obyczajówką”, gdyby nie fakt, że reżyser zderza nierealną świat- Cannes z wypadkami bardzo realnymi, zachodzący- mi właśnie w tym samym czasie na świecie. (Bo- haterka ogląda wszystko — „jak leci” — w tele- wizji). Te wydarzenia (i zresztą cały film Schmidta) otwierają długie sceny telewizyjnej relacji o zama- chu na papieża Jana Pawła II, komentowane przez... polskiego dziennikarza, po polsku oczywiście. (Ten sam fragment polscy widzowie oglądali w TVP, w dniu zamachu.) Później, już w „fabularnej” części filmu, podczas autentycznej konferencji pra- sowej z udziałem Jacka Nicholsona, wychwyty- nagle moment kiedy fotoreporter tygodnika „Film”, Jerzy Koźnik, przypina Nicholsonowi do kłapy marynarki znaczek „Solidarności”...

W wymiarze zupełnie realnym natomiast, w pej- zaż niedzielnej Lozanny 18 października 1981 r. wpisał się mocnym akcentem numer miejscowej „Tribune — Dimanche” z ogromnym barwnym ry- sunkiem na pierwszej stronie, przedstawiającym polskiego rolnika siejącego zboże, oraz postępują- cego za nim oracza. „La Pologne de la disette” — „Polska wobec głodu” głosił wielki tytuł. W nu- merze cała rozkładówka poświęcona była fotore- portażowi z Polski — zdjęcia kolejek, pustych sklepów i kartek żywnościowych. Zapowiadano też pięcioczęściowy cykl artykułów specjalnego wy- słannika gazety na temat tego, co się dzieje obecnie w Polsce.

Wczorzem radio podało wiadomość o objęciu funk- cji pierwszego sekretarza KC PZPR przez generała Jaruzelskiego. Następnego dnia cała poranna prasa światowa, wraz ze szwajcarską oczywiście, trzęsła się od wiadomości i komentarzy na temat nie- dzielnego wydarzenia. Francuski „Le Figaro” rzu- cił na pierwszą kolumnę zdania: „Jaruzelski rem- place Kania à la direction du P.O.U.P. Pologne: la dernière chance”. Lozanneńska „Tribune — Le Ma- tin” pytała na ostatniej stronie: „Pologne: Jaruzel- ski comme Pilsudski? itd., itp.

A wczorzem w Casino de Montbenon odbywała się wielka gala. Na otwarcie przybyli znakomitości federalne, kantonalne i miejscowe. Sala Paderew- skiego wypełniona była do ostatniego miejsca, lu- dzie stali w przejściach pod ścianami. Rozpoczęła się seria przemówień. Były to prawdziwe popisy oratorskie, takie, w jakich gustują Francuzi, i które mają swój godny odpowiednik tutaj, w francuskojęzycznej części Szwajcarii. Prawdziwą furorę zrobił jednak znany reżyser francuski, Claude Autant-Lara, twórca m.in. „Diabła wcie- lonego” i „Czerwonej Oberży”, zaproszony specja- lnie do Lozanny w związku z retrospektywą jego twórczości w FilMOTECE oraz wielką wystawą jego rysunków i szkiców plastycznych do filmów. Clau- de Autant-Lara, drobny, siwłosy starszy pan, nieskazitelnie ubrany, skłoniwszy się lekko w stro- nę przedstawicieli Rządu Federalnego, rozpoczął w te słowa: „Excellence, Mesdames et Messieurs! Jako oddany wielbiciel Stendhala... jako człowiek, który zachwyca się myślą Voltaire'a...” Na sali po- wiało minioną epoką, tymi pięknymi czasami, kiedy wszystko wydawało się proste, słuszne, czyste i szlachetne...

Na koniec była niespodzianka. W głębi sceny Sali Paderewskiego rozsunęły się kotary, załaziła biel ekranu. Zgasły światła. Rozpoczął się pierw- szy, inauguracyjny pokaz filmowy. Snop światła z kabiny projekcyjnej rzucił na płótno obraz sta- rego człowieka we fraku, z grzywą siwych włosów. Stary człowiek siedział przy fortepianie, grał „Rap- sodię węgierską” Liszta... Był to fragment amery-kańskiej kroniki filmowej z początku lat czter- dziestych. Ignacy Paderewski przybył wówczas po raz ostatni do Ameryki. Był to już jego ostatni koncert przed śmiercią.

Mistrz grał. Silny, porwany, wciąż wspaniały. Choć widać było, że ręce ma już bardzo stare, i że ciężko mu, i że odchodzi... Przypominałem sobie wielkie zdjęcia Paderewskiego eksponowane teraz tutaj, w Lozannie, u wejścia do sali Jego imienia. Rok 1910 — Paderewski w warszawskich Łazien-kach; Paderewski, piękny młody mężczyzna z bu- rzą złocistych włosów otaczających jego czoło, i eleganckim cylindrem w ręku. Paderewski — w roku 1919; już nie tylko artysta, ale także mąż stanu; poważny, szlachetnej postawy mężczyzna. Premier rządu odrodzonej Rzeczypospolitej. I wreszcie: Paderewski, stary człowiek, przemawia- jący w Stanach Zjednoczonych, na międzynarodo- wym forum, w sprawie Polski, która znowu wal- czy o wolność...

Mistrz grał. Myślałem, o tym wszystkim, o kra- ju, o nas w Polsce żyjących. Myślałem o tym wszystkim, choć tak pięknie było tutaj, tak dobrze było w Lozannie, nad szeroko rozlanym, milczą- cym Lemanem.

Cieżko zostać tłumaczem!

Jerzy Wieluński

JEDEN z tegorocznych numerów tygodnika „Czas” zamieszcza wywiad z Haukurem Helgasonem, prezesem Towarzystwa Islandia-Polska. Redaktor Anna Marciniakówna usiłuje przy okazji przekonać H. Helgasona, iż „brak tłumaczy mogących przekładać z języka islandzkiego sprawia, że skazani jesteśmy na pośrednictwo innych języków”. Nie wiem, skąd red. Marciniakówna wywodzi takie kategoryczne twierdzenie? Właściwie przez kogo jesteśmy „skazani”? Czy wyrok jest bezapelacyjny? Czy tego rodzaju „braki” są nieuniknione i co się z nimi wiąże? Oto kilka pytań. Spróbujmy je rozważyć.

Nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazała się niedawno powieść pt. „Po omacku”. Jej autorem jest współczesny pisarz islandzki Gudmundur Danielsson. Nawet pobieżne porównanie oryginału islandzkiego z polskim przekładem pozwala skonstatować, że tłumaczenie w wielu miejscach poważnie odbiega od sensu i nastroju oryginału. Dlaczego? Ponieważ dokonane zostało w oparciu o przekład... norweski. Informatycy mówią, że wielokrotne przekazywanie i przetwarzanie określonej informacji prowadzi do jej zniekształcenia. Zwracam więc uwagę P. T. Wydawców, że w procesie przekładania tekstu z jednego języka na drugi obowiązuje prawa informatyki. Dodam ponadto, że dzieło Danielssona wybrano po omacku, za sprawą przypadku. Niestety, wiem z własnej praktyki, że próby nawiązania współpracy z Wydawnictwem Poznańskim kończą się niepowodzeniem. Kandydat na tłumacza czyta — z własnej ochoty — tomy powieści, wybiera, proponuje, uzasadnia wybór, rekomenduje, krytykuje, podejmuje się próbnego przekładu; słowem — pieczone gołąbki same wlatują do redakcyjnej gąbki, a redaktor Adela Skrentni najwyraźniej w świecie milczy. Czy to fair? Gwoli ścisłości należy w tym miejscu zauważyć, że Danielsson jest nie tylko prozaikiem, ale również poetą oraz tłumaczem. Ponieważ Wydawnictwo Poznańskie o tym nie wie, odsyłam zainteresowanych do utworów: „KVEDID A GLUGGA” („Deklamowane u okna”), „TAKRENNAN SYNGUR” („Śpiewająca rybnia”) itd.

Ignorowanie dzieła oryginalnego przy tłumaczeniu na język polski bynajmniej nie ogranicza się do literatury islandzkiej i Wydawnictwa Poznańskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy sieje podobne kwiatki. „Trzy opowieści o miłości” Piotra Lotewskiego pisarza Vladimira Kafjaka przełożono w oparciu o przekład... rosyjski. Dlaczego? Może dlatego, że „brak” tłumaczy mogących przekładać z języka lotewskiego sprawia, iż „skazani” jesteśmy na pośrednictwo innych języków... Kto to powiedział? Nie wiem. Może redaktor Barbara Przybyłowska? A może redaktor Zofia Rybicka? Osobiście zaryzykuję stwierdzenie, że niedostateczne zaangażowanie i rozeznanie zawodowe niektórych osób w wydawnictwach sprawia, iż istotnie skazywani jesteśmy na pośrednictwo kilku podstawowych języków przy tłumaczeniach z języków mniej znanych, jak choćby z islandzkiego, lotewskiego itp. Skąd więc brać tłumaczy np. z języka islandzkiego?

Przed wszystkim w Polsce b. trudno zostać tłumaczem! Redaktor Robert Stiller w swojej „Szkole tłumaczy” („Literatura na świecie”, nr 112) dawno zamawiał u bliźni nieznanej czytelniczki Jerzego W. przekład czterech opowiadań islandzkiego pisarza Thora Vilhjalmsona. Niestety, jak dotychczas na łamach znakomitej „Literatury na świecie” brak islandzkiego debiutu Jerzego W. Czyżby redaktor Stiller, zatarłszy za sobą wszelkie ślady, skrył się za siedmioma islandzkimi łodowcami, za siedmioma gejerami? Skąd brać tłumaczy z języka islandzkiego, jeśli się ludziom nie daje szans, by tłumaczami zostali?

Cieżko zostać tłumaczem. Jeśli ktoś sądzi, że przesadzam, niech w „Polityce” z 10 maja 1980 roku poczyta o perypetiach młodego człowieka, który bezskutecznie uderzał głową w betonowe ściany redakcji (a może w betonowe głowy redaktorów?) w nadziei, że uda mu się je poruszyć. Nie poruszyli! Redakcyjne ściany wymagają kolosalnej siły przebicia i jeszcze mocniejszych pleców, a dostąpienie do misterium przekładu nie dzieje się ani łatwo, ani szybko, gdyż pewne towarzystwa wzajemnej adoracji gorliwie strzegą tajemnic oraz interesów. Swoją drogą ciekaw jestem, czy ów młody człowiek, Tomasz Matkowski, z równą jak niegdyś wytrwa-

łością dalej brnie przez dżunglę biurokratycznych absurdów? Niekiedy odnoszę wrażenie, że ci, którzy aktualnie są tzw. redaktorami, z a w s z e nimi byli i z a w s z e nimi pozostaną... Z czymś mi się to kojarzy, ale nie rozwijam tematu, gdyż polityką się nie zajmuję. Sądzę jednak, że oprócz pasty do zębów, proszku do prania i paru innych drobiazgów, brak nam jeszcze tylko rozsądnych redaktorów, którzy by laskawym gestem pozwolili młodym ludziom względnie szczęśliwie wypłynąć na powierzchnię literatury przekładów, albo też utonąć. W obu przypadkach korzyść odnieśli by wszyscy zainteresowani — nawet najbardziej niemrawi wydawcy i najbardziej niekompetentne panie zza redakcyjnych blurek.

Thor Vilhjalmsson

TO NIE ICH SPRAWA

— Czego chcieli ci dwaj? Przyjeżdżać tu aż z Ameryki, żeby się wtrącać w naszą wojnę — mówił Pablo, lekarz okulista, którego spotkałem w Madrycie, jakieś dziesięć lat po zakończeniu wojny domowej. Pablo był kiedyś sekretarzem w oddziale falangi. — Zupełnie jakby zwiariowali. Domagali się, żeby ich skontaktować z amerykańskim konsulem. Podczas wojny. Rozmawiał z konsulem. Co sobie wyobrażali? Czy nasza wojna to zabawa dla zagranicznych dzieciaków? Nuestra guerra! Nasza wojna! Bali się jak cholera. Kapitan powiedział: wyprowadź i rozstrzelaj. Wyszedłem z nimi. Powtarzali w kółko to samo o konsulu. Zastrzeliłem ich. Kiedy zatatuiłem to, też mi pękał od tej ich gadaniny o konsulu. Co za osły!

Palcami prawej ręki — wielkim i wskazującym — wyciągał włókno mięsa, które mu wlatowało między dwa trzonowce.

Z islandzkiego przełożył Jerzy Wieluński

Thor Vilhjalmsson — prozaik islandzki (urodzony w roku 1925). Jego twórczość ceniona jest na równi z twórczością Laxnessa oraz Danielssona. Debiutował w r. 1959, wydając swoje pierwsze dzieło „Madurinn er alltaf einn” („Człowiek jest zawsze sam”) i od razu zyskał rozgłos. Vilhjalmsson jest członkiem kolegium redakcyjnego wydawanego w Luksemburgu międzynarodowego periodyka literackiego „Nouvelle Europe”. Powyższa miniatura pochodzi ze zbioru opowiadań „Andlit i spegli dropans” (1957).

Kto spoza „branży” usiłuje zaprezentować literaturę obcojęzyczną w oparciu o własne przekłady z mało znanych języków, ten praktycznie nie ma żadnych szans, by dostać się na tzw. rynek wydawniczy. U wejścia rozdepcze go tłum „wybitnych znawców”, „wysokiej rangi specjalistów”, doktorów wszech nauk, „uniwersalnych” filologów, wszechpotężnych „panów dyrektorów”, obłudnie uśmiechniętych pań w przedemerytalnym wieku, panienek o lakierowanej powierzchowności, opryskliwe odszczekujących na każde grzeczne zapytanie... A kiedy cudem przedrze się przez wszystkie bariery i zapory, drzwi i podwoje, pułapki i wilcze doły, kiedy przekona wreszcie wydawnictwo, że np. powieść Arvo Valtona „Na drugi koniec nieskończoności” jest wyjątkowym arcydziełem napisanym przez człowieka wrażliwego, głęboko myślącego, dziełem o nieprzeciętnych walorach artystycznych itd., itd., to i tak nie z tego. Okaze się wtedy, że wydawnictwo albo już nie ma pieniędzy, albo jeszcze nie dostało przydziału papieru. Bądź też — już dostało przydział papieru, ale jeszcze nie uzyskało jakiegokolwiek kolejnego zezwolenia, czy pozwolenia z którejś z instancji nadrzędnych, czy władz centralnych. A kiedy nawet i te wszystkie sprawy, dzięki fantastycznemu zbiegowi okoliczności, zostaną wreszcie załatwione, wtedy jakaś pani redaktor dojdzie do wniosku, że nie należy jednak zbyt ufać młodym tłumaczom, że estońskie-go to on chyba nie zna (bo i skąd?), że najlepiej byłoby zdobyć rosyjski przekład owej powieści. I wtedy dopiero, tak naprawdę, wszystko wali się w gruzy. Nie sposób wytłumaczyć komu trzeba, że utwór jeszcze się nie doczekał przekładu rosyjskiego, że Bóg raczy wiedzieć, czy i kiedy się doczeka, itd., itd.

Zarzuć mi ktoś, że za wiele wymagam. Za-

rzut to chyba słuszny. Nie wymagajmy od krowy, żeby zarażała. Nie spodziewajmy się, że kot zaszcześci. Nie ludźmy się, że każdy Urzędnik potrafi w razie potrzeby przełożyć sprawy ducha nad dobra doczesne.

Rycerstwo z redakcyjnych twierdz (w stal zakute głowy) stosuje rozmaite fortelle, by pozbyć się szturmujących maniaków-idealistów. Jeśli wstępna rozmowa na temat ewentualnego przekładu ma np. miejsce w maju, wtedy „osoba kompetentna” obdarza zainteresowanego czarującym uśmiechem: „Zadzwoń do pana w grudniu, bo teraz jestem bardzo zajęta...” Istotnie, dzwoni potem, dzwoni często w uszach niedoszłego tłumacza.

Stosowana jest też metoda bardziej elegancka: „Napiszemy do pana list...” Piszą więc owe listy, pewno je wielokrotnie przepisują, poprawiają, stylizują, korygują, ocenzurowują, pewno długie-długie epistoły być to muszą, w długich, bardzo długich kopertach, tak długich, że się owe pisma w skrzynkach pocztowych nie mieszczą, przeto idą pewnikiem plechotą. By snail mail — zaryzykuję napisać, nie wątpiąc, że wszyscy państwo znają angielski.

Pamiętam, że po wielu bezskutecznych próbach kiedyś dostąpiłem zaszczytu i jednak otrzymałem list od pewnej pani z pewnego wydawnictwa stołecznego. Wyznam wszak szczerze, iż stało się tak skutkiem niecnej działalności wywiadowczej, którą od lat prowadziłem w kręgu moich znajomych, krewnych, przyjaciół, najbliższej rodziny itd. Wśród tych wszystkich osób natrafiłem ku mojej radości na kogoś, kto znał bardzo dobrze kogoś innego, a z kolei ten ktoś znał jeszcze kogoś innego, który to ktoś (itd., itd.) skontaktował mnie z ową panią z pewnego wydawnictwa. Miałem tłumaczyć powieść słowackiego pisarza. I to z oryginału słowackiego. Pani redaktor zapytywała, czy wystarczająco dobrze znam słowacki, czy już coś kiedyś tłumaczyłem z tego języka? W przypadku gdybym miał „kłopoty z przekładem”, mogłem prosić o pomoc pewnego pana, który się zajmuje przekładami ze słowackiego... Uradowany natychmiast odpisałem na list. Informowałem uprzejmie, że mój pradziadek był Słowakiem, że rodzina mojej prababki ze strony mojego dziadka mieszkała od wielu lat po tamtej stronie Tatr, że Słowaków kocham jak braci, a słowacki i Słowacki — oczywiście też, że się co prawda nigdy słowackiego nie uczyłem, ale — nie wiedzieć czemu — prawie już go znam. I wtedy doszła do mnie straszna wieść, że nie będę tłumaczył tej powieści, bowiem już to zrobił inny ktoś... I takim sposobem urwał się ten jakże obiecujący kontakt ze stołeczną oficyną wydawniczą.

Cieżko zostać tłumaczem. Ale pocieszam się, że kiedyś było jeszcze cięższe: każdy człowiek znający angielski lub francuski (nie mówiąc o... amerykańskim!) uważany był za wroga klasowego, a poliglota — co najmniej za kontrrewolucjonistę. Dziś tylko tępi się kilku nieszkodliwych szaleńców, którzy z własnej woli, bez państwowych środków dewizowo-złotówkowych, uczą się „nikomu niepotrzebnych języków”, i na domiar dobrego, jeszcze by chcieli przekładać literaturę! Goethemu przypisuje się powiedzenie, że kto nie zna języków obcych, ten nie wie nic o własnym. Parafrazując, można by powiedzieć, że im więcej zna się języków obcych, tym lepiej zna się swój własny. Zapytuję zatem pewne Bardzo Ważne Osoby: kto w Polsce jest tłumakiem-literolą, a kto jest tłumaczem-literatem? Czy klasyfikacja następuje według przynależności związkowej?

Cieżko zostać tłumaczem. Przy Związku Literatów Polskich istnieje tzw. Koło Młodych Tłumaczy (złotliwi nazywają je: ku-mo-ter, od czego ja zdecydowanie wolę się odciąć), ale myli się ten, kto sądzi, że względnie łatwo dostąpić zaszczytu najwyższego i zostać członkiem tego koła. Pani Anna Wasilewska sugeruje bowiem patentem, aby przysłać do oceny Wysokiej Komisji Kwalifikacyjnej teksty przekładów „z języków bardziej znanych”. Czyżby zatem znawcy przedmiotu z Wysokiej Komisji Kwalifikacyjnej nie znali mniej znanych języków?

Jeśli niedoszły członek-tłumacz jest młody i u-party, to na fali Odnowy zgłosi swój akces do Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich. A wtedy trafi go szlag ostateczny! Okazuje się, że nie przyjmą go w poczet członków Stowarzyszenia, gdyż nigdzie „nie jest zatrudniony”. I jak wyjaśnić szanownym kolegom, że „być zatrudnionym” rzadko kiedy u nas znaczyło „pracować”. Niby Odnowa, a tu się raptem okazuje, że nawet w Warszawie nie wszyscy jeszcze wiedzą, jakie mamy dzisiaj skutki owego „zatrudnienia”. Czy nie sądzicie, koledy, że lepiej by było po prostu pozwolić tłumaczowi pracować i pozwolić mu być tłumaczem, niż go koniecznie gdzieś „zatrudniać”?

DEBIUT

Zofia Nowacka-Wilczek

TREMA

czekam aż się cisza ustoi
zbieram pianę emocji
i uważnie odwołam
wolno jak aptekarz
uncja po uncji
żeby nie za dużo
żeby nie za mało

waga się zacina
rozedrgana mierz
wrzucam słowa w milczenie
potrzęsam miksturą
i szepci się wytrąca
i mocniej potrzęsam
wreszcie
gładka płynność
staje się esencją
w spokoju przelana
w zawieszoną moją
i nie tylko moją
wielkiej niepewności

i ktoś bije brawo
nie
to tylko serce

NIEPEWNOŚĆ

zawieszani
między dziś
a jutro
na nitkach pajęczyn
mocnych jak ich nerwy
nie wiedz
czy słonce
tociągnąć w chore płuca
czy serce dotlenić
powietrzem nadziei

czy zażyć morfinę
wszechobojętności
i oczami tępy
wpatrywać się w ciemność
skąd się wynurzą
kształty szkielecików
o wydętych brzuskach
pustych tak jak bębny
co biją na trwogę
czy spytać karmów
którzy są ablami
czy noce wypłynę
i czy jego arka
jest aż tak pojemna
jak serce które kocha
wszystkich
i wybacza

Tadeusz Hołuj:

„Sens istnienia lewicy nie zmienił się”

STANISŁAW STANUCH: — Chciałbym zacząć rozmowę od pytania drażliwego: jak czuje się pisarz, który całe życie uważał się za człowieka lewicy i dzisiaj jest świadkiem pojawiających się od czasu do czasu, prób podważania racji istnienia socjalizmu?

robek w kulturze właśnie ludzi lewicy i chyba naszym obowiązkiem jest, aby ten dorobek nie został zaprzeczony

nikt nie pracuje nad wierszem tak, jak nad prozą. Tak to u mnie bywało. Teraz jest znowu bardzo szczególna sytu-

Tadeusz Hołuj

Przyszli na pogrzeb, choć nie wiedzą o tym
i zamiast kirem trzepoczą orłami.
Za chwilę ziemia, co ma paść na trumnę,
otworzy wnętrze, żyzna od ciał przodków,
pochłonie wszystkich. I śpiew, i chorągwie.
Nikt nie postawi krzyża ni pomnika,
nie będzie komu krzyżować ani płakać,
a martwe ptaki pozlatują z herbów,
kryjąc piórami ślady obecności.
Po jakimś wieku przybędą walczyki
śpiewać swe pieśni i palić ogniska,
flaszki po wódce tłukące o wspomnienia
starą historią w równinę bez treści.

ny, żeby on znalazł odpowiednie miejsce, przy całym krytycznym do niego stosunku.

S. S. — A jakie było miejsce poezji w pańskiej twórczości?

T. H. — Stereotypowo zacząłem od poezji, debiutowałem w ogóle wierszami i właściwie uprawiałem ten rodzaj gdzieś do lat siedemdziesiątych jako główny rodzaj wypowiedzi. Potem mi to, że tak powiem, przeszło. Wszedłem w uprawianie prozy, ale pomalutku do poezji wracam. To nie jest sprawa chęci lub niechęci. Proza wymaga czasu, przy tym nie jest to tylko fizyczny czas pracy nad utworem, ale i okres myślenia nad tym, co się ma zamierzać napisać...

S. S. — ... może z wyjątkiem opowiadań mających u pana specjalną funkcję...

T. H. — Tak, ale ja miałem na myśli prozę beletrystyczną, powieść, czy nawet cykl opowiadań złączonych ze sobą problemowo. Żeby pisać poezję, sięgałem zawsze po pióro, jak to się pięknie mówi, w stanie, no nie chcę powiedzieć nienormalności, ale szczególnego napięcia, potrzeby natychmiastowej reakcji i to w sprawach nie tylko społeczno-politycznych, lecz również lirycznych. Wówczas, gdy nagromadzi się jakieś uczucie, obojętne na jakim polu, powstaje wiersz. Przecież

ogółem. Nigdy nie należałem do żadnej grupy poetyckiej, nigdy nie miałem podparcia teoretyczno-estetycznego; zawsze pisałem poza tymi warunkami, które uchodziły w owym czasie za aktualne, modne, popierane.

S. S. — Zaczęła ten nurt kontestacyjny przeszedł u pana z poezji do prozy, bo nie było opowiadań z lat siedemdziesiątych, tak jak „Skrydła”, a nawet takie powieści jak „Róża i płonący las” o Ludwiku Waryńskim, czy „Oso” — to były przecież w owym czasie kłótnie pisane „pod prąd”, próbowały lansować jakieś tam nowe spojrzenia na problemy, które podejmowały, prawda?

T. H. — No, oczywiście. Mam trochę wierzy publicystycznych, retorycznych, ale gros moich utworów poetyckich i prozatorskich, o których pan mówi, powstało z potrzeby zrozumienia tej ludzkiej postaci socjalizmu, to znaczy nie struktur, nie oficjalności (której zresztą nie da się pozbyć), ale z pytania: jak to jest w człowieku? Jak to się w człowieku te idee rodzą? Ja nigdy nie napisałem żadnego utworu autobiograficznego, znaczy nie mam żadnej powieści, która byłaby „o mnie”. Ale oczywiście szukałem takich bohaterów, którzy by odpowiadali na pytania zadawane sobie przeze mnie.

S. S. — Czy chodzi o rozbieżność między ideą a praktyką?

T. H. — Raczej o minimalizację tej rozbieżności. Chodziło mi o uzmysłowienie czytelnikom, że jeżeli człowiek ma jakąś wizję i żyje zgodnie z nią, niezależnie od tego, że człowiek jako jednostka, grupy, czy stowarzyszenia potykają się, to taka wizja pozwala lepiej żyć, rozumieć świat. W utworach swoich wielokrotnie opisywałem sytuacje, które polegały na istnieniu przeszkód w zrozumieniu samego siebie, w zrozumieniu świata, ideologii. Tak było, w nie najlepszym, moim zdaniem, tomie opowiadań pt. „Marzenie”. Cytowałem tam zdanie Żeromskiego czy Lenina o marzeniu. Myślę, że myślmy, to znaczy większość społeczeństwa, w codzienności, w pragmatyzmie naszym pozapominaliśmy o wartości idej w życiu człowieka.

S. S. — W minionych latach strasliwej materializacji postaw ideologicznych budził opór u niektórych „lepiej” poinformowanych moment poświęcenia — stałe obecnym w postawach działaczy, będący kregoszem myśli marksistowskiej. Nazywano go naiwnym idealizmem, chociaż emanuje on zarówno z postaci bohatera powieści „Róża i płonący las”, a także Poturckiego jeżeli znamy pierwowzory tych powieści.

T. H. — To jest kapitalny problem, bo dotyczy traktowania nie tylko postaci, ale i literatury. Wielokrotnie pisałem, że literatura nie ma, oczywiście, żadnych celów. To ludzie wyznaczają sobie cele. Uważam, że poświęcenie to jest forma służby sprawom z którymi się utożsamiamy, szukaliśmy więc takich wątków, takich motywów, które o tym mówiły. Oczywiście zdarzały się także tragiczne sprawy to znaczy człowiek poświęcający się ponosił klęskę, w tym sensie, że ginął — jak Waryński czy Poturcki. No, ale Boże — wszyscy giną, czy umierają, a mnie chodziło o to, co po nich zostaje, jaki jest po nich ślad, nie tylko wśród współczesnych, ale i wśród następnych pokoleń. Zawsze pasjonowało mnie: jak się ma napisana ideologia, ten kanon ideowy, do tego, co rodzi się w

Zygmunt Mikulski

Pozycja w dzienniku

Wprost od biurka z twardym blatem,
prosto z krzesła przy tym stole
śmiało naprzód, w dobrą datę,
w przedwiosenne alkohole!

Za daleko, zamaszycie,
gdzie deszcz z dzwonkiem jasnym pobiegnie.
Takie wyjście, takie łacie
jest kreacją samą w sobie.

Jak w koncercie superzyceń,
jak wskazuje rym — radośna
gra natura swój pentliczek:
lato, jesień, zima, wiosna.

Dziś on arcyznakomity
lubi, jak wielobarwny plakat.
Zielk Ameryk nie odkrytych
w kropki, w słoncu, w locie ptaka.

Co — jak sobie tego żyć
muzy Talia i Erato —
wspiesz w księgę podróży
pod wiosenną, dobrą datą.

Sposób bycia

Prawda, stęskniłem się do banalów.
Jesień, czy wiosna? Ogród kwitnie.
Popadłem w niedorzeczny nałóg,
bo milczę dźwięcznie w skocznych rytmach.

Codziennie zmierzch wieczorny witam
nieśkany, drzewony, nieuparty.
Bo księżyc. Sam. Jak eremita.
Bo zapach. Długi i rozparty.

Więc chyba o tym. Nie, to gałąź,
to włos, to smyczek, to melodia.
Przedłużać opis mam tak samo,
jak oczekuję ciebie co dnia?

Już bym rozpoczął. W sennym szumie
zgasł nie słyszany przemilczeniem.
Bo wiem, że ujrę. Nie zrozumieć.
Ze smyczkiem będę. I że cieniem.

Ze słów kilkoro jeszcze powiem,
że włożę w wodę liść konwalii.
(Ze może będzie ze mnie człowiek,
gdyby się kiedyś zapytał...)

Księżyc już cięższy. Cierpki owoc.
Na piórze jeszcze mam atrament.
Więc księżyc znowu i noc znowu.
I słowa inne. I te same.

Błąd

Nie będę plotki skandalicznej
skandował jak legendy.
Niewybaczalny błąd taktyczny.
Nie będę.

W tym są mistrzowie tacy,
że przy nich człowiek klep.
Poza tym — podział pracy,
więc co: odbierać chleb?

Niech madrygał, niech paszkwil
na głowę (le?) po dziesięć kilo.

Mnie zaś ta sama panorama
nie opłaca żadną kasą.
gdy noc — na pustym moście dama
otwiera księżyc, jak parasol.

Mnie kwiaty zaś choć i zwiędnięte,
gwiazdkę, co w dłoni drży.
I spotkać kogoś za zakrętem,
komu się powie „ty”.

Dziękuję, reszty nie potrzeba,
nie lubię drobnych. Stąd
elbrazymi, tak jak mąd do nieba,
niewybaczalny błąd.

człowieka. Skąd to się wzięło, że np. Waryński, będący wesołym, „normalnym” studentem, nagle stał się przywódcą ruchu.

S. S.: — Pisał pan na tematy historyczne, „oswieceniowe”, „współczesne”. Który z tych wątków w pańskiej prozie wydaje się panu obecnie, z perspektywy najważniejszy?

T. H.: — Ten, który wiąże się z biografią autora, z jego pokoleniem. Po prostu w tym temacie każdy jest specjalistą. Nawet, gdy się pisze powieść historyczną, szuka się postaci pokrewnych np. w sensie pokoleniowym, różniących się, bo ma się nadzieję wówczas lepiej zrozumieć te postaci. Dla każdego pisarza najważniejszy jest okres od młodości do lat średnich, wówczas najmocniej uczestniczy się i przeżywa. O tym okresie w moim życiu najmniej chyba napisałem, mam więc jeszcze kopalnię tematów.

S. S.: — „Próba ognia” (umyślnie wyodrębniłem ją z całego cyklu) była obrazkiem ze wstrząsem, jakim dla pańskiego pokolenia był rok 1939, powieści „oswieceniowe” zaś opisywały sytuację, która była próbą człowieczeństwa. Bardziej może nawet człowieczeństwa, niż postawy ideowej. Który z tych wątków wydaje się panu bliższy prawdzie o naszym czasie?

T. H.: — Dla człowieka, który był w obozie, Oświęcim stanowił olbrzymie doświadczenie. Widziało się tam ludzi namiętnych, niezafalowanych, co w normalnym życiu jest prawie że niemożliwe. Poznawało się tysiące sytuacji, które w normalnym życiu trwają dziesiątki lat, a tam rozgrywały się na przestrzeni niewielkiego odcinka czasu. Również rytm życia biologicznego był zupełnie inny. Ktoś napisał kiedyś, że w moich utworach jest za dużo tego dobrego, za często stawiam człowieka przed koniecznością podjęcia ostatecznych wyborów. Ale takie konieczności zdarzają się nie tylko w sytuacjach krańcowych, również w tzw. spokojnym życiu mamy z nimi do czynienia, nawet jeżeli sobie tego nie uświadamiamy. Tu konieczność podejmowania wyborów gawędniej nazywała się wątkiem moralistycznym literatury i on interesuje mnie najbardziej, bez względu na to, jakiej epoki dotyczy. Wielu młodych ludzi nie zdaje sobie sprawy, że nie było to przecież wybory typu akademickiego. Polegały one na łączeniu się z kimś, lub z czymś, co pociągało za sobą ogromne konsekwencje, osobiste, polityczne, towarzyskie (w środowisku, w którym się żyło), a nawet w stosunku do państwa. Literatura nie może być obiektywna. Jeżeli opisuję jakiś okres, to mam prawo opisać to ze swojego punktu widzenia, nie tylko na podstawie faktografii, własnych przeżyć, ale i z tym komentarzem, jaki dyktuje mi mój światopogląd, lecz mój kolega z przeciwnej strony powinien mieć takie samo prawo. Nie wolno wyznaczać od literatury, żeby była encyklopedią: suchym, wyważonym hasłem, zestawieniem faktów. Przecież o to właśnie toczył się spór z kierownikami polityki kulturalnej: o przyznanie literaturze prawa do subiektywizmu. Oczywiście te subiektywne dzieła mogą się zbierać w jakiś zestaw o podobnej strukturze ideowej. U nas mamy taką strukturę dzieł opartych o światopogląd katolicki i nikt jakoś nie protestuje. Natomiast, jeżeli zjedzie się pięciu pisarzy złączonych światopogla-

dem materialistycznym, pojawia się podejrzenie, że to Komitet kazał im takie książki napisać. Ja się nie śmieję, bo takie opinie drukuje się dzisiaj w naszych tygodnikach.

S. S.: — To się nazywa protestem przeciwko tzw. urzędowej literaturze...

T. H.: — Ale co to znaczy? Kto wymieni mi nazwiska pisarzy będących rzeczywistymi dwórkami? W tym sensie, że są na pensji, przychodzą do komitetu takiego czy innego, otrzymują temat i mają pisać. Przecież to zupełnie inaczej wyglądało nawet w epoce realizmu socjalistycznego. Nie bardzo

powieści pt. „Raj”. Muszę przyznać, że mnie ta forma, z wielu powodów, korci. Po pierwsze: każdy pisarz chciałby wiedzieć, jak jest odbierane jego dzieło. Autor dramatyczny czy scenarzysta filmowy ma tę możliwość — po prostu idzie do kina czy do teatru i widzi, czy ludzie śmieją się, czy płaczą, czy wychodzą. Ma się więc kontakt z tym, co się napisało, można to wreszcie modulować w razie potrzeby. Po drugie: wstyd powiedzieć, ale jest to forma mniej pracochłonna, niż ta przekięta proza zajmująca wiele miesięcy — a jeszcze, nie daj Boże, jak to jest proza związana z historią. Po trzecie: dzisiaj jest to lepszy środek

śmiać mówi, prześladowani, a partyjni jechali po masie. Jeden tylko przykład podam. W Indonezji po nieudanym buncie komunistycznym płk. Untunga wyróżniło 200 tysięcy komunistów (niektórzy twierdzą, że pół miliona, ale mniejsza z tym). Napisałem wiersz i posłałem chyba do „Polityki”, cenzura go zdjęła. Biuro Polityczne zajęło się tym wierszem, zadawałem sobie pytanie: dlaczego Biuro Polityczne w ogóle zajmuje się wierszami? Tow. Kliszko, zajmujący się wówczas kulturą, zatelefonował do mnie: „Słuchajcie, poczekajcie parę dni, potem ten wiersz zamieścimy”. Ja mówię: dlaczego? „Bo w Warszawie jest misja handlowa indonezyjska”. Czy ktoś, kto pisze, ma reprezentować władzę, rząd, stosunki międzynarodowe? Pisarz ma prawo oburzyć się poza formalną strukturą polityczną i to wcale nie znaczy, że rząd czy partia złożyły tym samym protest. Oto typowy przykład stosunków pisarz — władza.

S. S.: — Rozmawiamy w przededniu pańskiego jubileuszu sześćdziesięcioletniego; mimo tej odświętnej okazji pytanie robocze: plany twórcze, prace, a może marzenia?

T. H.: — Dopiero teraz wygrzebuje się z okresu dość długiego milczenia. Nie pisałem. Nie z powodu przeszkód politycznych. Tak się złożyło, że inne zajęcia szalenie mi głowę zajmowały. Po trochu wracam do poezji. Bardzo współczesnej. Piszę o rzeczywistości, ale nie w sensie faktograficznym, raczej chodzi o przemyslenia na temat tego, co dzisiaj dzieje się w ludziach. Po drugie: chciałbym napisać cykl opowiadań — zamiast powieści autobiograficznej. Ja z tą autobiografią mam szalony kłopot, zabieram się do tego od wielu lat i nie wiem, jak się zabrać. Wreszcie postanowiłem napisać kilka opowiadań. Nie w pełni autobiograficznych, ale na podstawie faktów z mojego życia, które by były przekrojem doświadczeń tego pokolenia. Chcę jeszcze raz wrócić do czasów studenckich. Do wojny i obozu już chyba nie, ale na pewno do okresu powojennego w tym mileniu, że tak powiem, peperowskim. Po trzecie: rozmyślam nad formą dramatyczną. Sądzę, że chodzi o teatr. Zdobiegany jestem tym, co się teraz dzieje w teatrach: naszą nieobecnością. Ja nie mam absolutnie nie przeciw temu, że się gra Papieża, Miłosa czy Herberta, tylko że się gra wyłącznie. Na zebraniu, zdaje się w Teatrze Starym, kiedy wyrzucano Gawlika, ktoś powiedział, że „aktorzy nie będą grać sztuk rządowych”. Na szczęście ktoś mądry powiedział: „co to w ogóle znaczy? Po prostu powinniśmy grać dobre sztuki”. To bardzo ważna sprawa, abyśmy byli obecni w teatrze, w miarę naszych sił, z dobrymi dziełami. Bo w kulturze toczy się walka nie na artykuły, polemiki, programy — tylko na dzieła, na wartości. Dzieła literackie rozstrzygną o tym, który prąd, idea, jakie postawy, czy wartości będą przyjęte przez czytelników. Żeby więc prowadzić tę walkę, musi być oręż, muszą być dobre książki, sztuki, filmy, musi być nasza obecność. Ona nie może być zagwarantowana automatycznie na podstawie legitymacji, można ją zagwarantować jedynie poziomem, wartością artystyczną.

Tadeusz Hołuj

Kim jestem, skoro jestem wśród innych,
nawet w samotności połączony milionem pepowin,
sterowany współistnieniem ludzkiego kosmosu,
w którym i ja tworzę wartości?
Kim jestem od poczęcia do zejścia,
skoro nawet słońce zgaśnie i rodzaj przeminie
tak dumnie się opiekujący w sagach tysiącleci
i dlaczego o to pytam?

Widziałem samego siebie z lotu ptaka,
ginącego z głodu, przymierzającego strzępek, lękającego trwozę,
poruszającego się w udach kobiet, złośliwego wódkę,
tworzącego ludzi z ciała i z papieru.
Widziałem samego siebie na polu bitwy,
w łóżku, w celi, w pochodzie i w pustelni.
Ten dar oplądania siebie jest niewygodny,
nie pozwala być samotnym
i każe zadawać sobie pytania
o tego, którego się widzi.

wiem, nie brałem wówczas udziału w życiu literackim, wydaje mi się jednak, że taki pisarz miał do tego, co głosił, przekonanie. Zdarzało się pewnie, że i błędził, ale przecież nie było to robienie knutem, naganem, karabinem maszynowym, czy jakimś środkiem moralnego przymusu. Nie rozumie się u nas, że pisarz może się identyfikować nie tylko z jakimś tam komitetem partyjnym, ale z drugim pisarzem, który podobnie myśli, lub bliskim mu prądem ideowym. I czyni to z własnej potrzeby, a nie z jakiegoś tam nakazu.

S. S.: — „Dom pod Oświęcimm”, „Puste pole” były polem doświadczeń z formą dramatyczną: czy przygotowuje pan coś nowego?

T. H.: — „Dom pod Oświęcimm” był absolutnym debiutem, nie wiedziałem wówczas nawet, jak to się technicznie robi, ale był to taki temat, który nadawał się tylko na scenę. No, ta sztuka wywołała mnóstwo hałasu, krytycy kłócili się między sobą na jej temat, zarzucano mi, że jest ona wątpliwa moralnie itd. „Puste pole” było czymś zupełnie innym. To była taka rozwichrzona formalnie, niezbyt udana, moim zdaniem, rzecz, w której chciałem pokazać, jak to dzisiaj ludzie, którzy przeszli przez obóz, żyją. To znaczy zgromadziłem ich też w jakimś tam obozie, co wykorzystałem zresztą później, w o wiele lepszej formie, w

oddziaływania. No, a każdy autor chciałby przecież oddziaływać. Te możliwości, które daje zwłaszcza film, czy telewizja lub radio, wielokrotnienia widowni, są grzechu warte. Więc mam tam coś w zamysle.

S. S.: — Czy moglibyśmy wrócić jeszcze na chwilę do problemu wyboru? Dzisiaj nie trzeba już, bardzo często, wybierać między życiem a śmiercią, ale w warstwie bardziej wulgarniej, choć nie mniej ważnej, czy używać np. władzy do swych własnych celów czy nie, czy wziąć te pieniądze, czy może w innym kierunku zużyć swoją energię...

T. H.: — To jest wielki rozdział do dyskusji: stosunek twórcy do władzy. Muszę powiedzieć, że nie znam ani jednego wypadku, żeby którykolwiek z pisarzy stojących dzisiaj w opozycji, a także z tych, którzy już wówczas nie popierali w stu procentach tej „dworskiej” linii, aby którykolwiek z tych ludzi odmówił np. przyjęcia nagrody państwowej, orderu państwowego czy mieszkania. Ja nie mam im tego za złe, ale to są również fakty bezsporne. A konflikty pisarzy z władzą istniały, owszem. To nieprawda, że pisarze — członkowie partii mieli słodkie życie. Przeciwnie, każdy z nich, jeżeli sięgał po tematy, nie powiem: sensu strictly polityczne, ale poruszające jakąkolwiek sferę działania należącą do instytucji partyjnej, narażał się na niebywale trudności. Nie było więc tak, jakoby pisarze opozycyjni byli, jak to się dzi-

Refleksja w samochodzie

To tu na prawo. Zwyczajna rzecz.
Ominąć kamień i wodę.
Lecz jak pojechać tyle lat wstecz
samochodem?

Zachcianka niby dosyć skromna,
słowaczko szoferowi —
i już ta noc, rzecz arcysonnambuliczna, księżyc, słowik...

Ach, Dulcyneo, zapal gaz!
Gafa na gafie.
Przestawił chronos, czyli czas,
liryczną scenografię.

Księżyc, paki, wonie — gdzież te
dziewczyny czule nocy?
Więc wrócić w lata choć trzydzieste,
gdzieś indziej — po co?

Zero, kierowco, czyli nico.
Choć znasz tu wszystkie kąty,
na próżno kręciś kierownicą,
tym kołem piątym.

Rycerska cnota nie zna plam.
Z powrotem, motor batem!
I zamiast serc zostawmy tam
ischias i reumatyzm.

Jeszcze jesień

Trzy godziny. Długie trzy czekania.
Świat też chyba na przystanku stanął.
Tramwaj dobrodusznie chwilejąc się podzwania.
Skąd nadejdzieś złotolistna panno?

Jaka linia, numer cię przyniesie?
Gdy nadejdiesz, wskutek liści będzie gwiazdnie.
Jesteś. A ty jesteś zwykła jesień.
I nieprawdliwie przekroczyłaś jezdnię.

Książka od starego przyjaciela

Tamten wieczór błyszczy jeszcze
jak zimowy gwiazd kandelabr.

Oto książka starych wierszy
od starego przyjaciela.

Znowu spotkań, ptaków, grudnia
tyle się w pamięci tłucze
ile ech jest w starej studni,
gdzie są zatopione klucze.

Bez, co „kipiał” nad parkanem,
śnieg, co w „stójkach” lamp promieniał —
zapomniane, przypominane,
jak niejedna „do widzenia”.

Gdzie są twarze dni, co przeszły?
Jakiś wtorek, jakiś czwartek
odnajduję w tomie wierszy
i opuszczam dłoń na kartę.

Przyjacielu, pomilczymy
tym milczeniem do ostatka.
Ktoś nas obu wpisał w rymy
i uwięził w dniu okładek.

Późno. Książkę już odkładam.
Noc, jak zatrzaśnięta brama.
Cienie strącają, cień się skradą.
Błyszczą gwiazda. Spójrz, ta sama.

Są to wiersze z tomu pt. „Do rymu”, który niebawem ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

W STYCZNIU 1915 r. wywalczył sobie Departament Wojskowy w C. i K. Naczelnej Komendzie Armii prawo przeniesienia się na teren Królestwa oraz zgody jednej przynajmniej władzy okupacyjnej na organizowanie także akcji werbunkowej. Organizacja werbunku, która po ofensywie letniej tego roku objęła cały teren okupacji austriacko-węgierskiej w obrębie Królestwa Polskiego odbywała się w najtrudniejszych warunkach, bo w okresie ciągłych podejrzeń ze strony władz austro-węgierskich o zdradę stanu. Dopuszczano się jej mieli Legioniści przez dążenie do niepodległego Państwa Polskiego. Pomimo uciążliwego skrupowania akcji werbunkowej ze strony władz okupacyjnych, pomimo ciągłych z nią na ten temat konfliktów, akcja ta wydała poważne rezultaty, gdyż umożliwiła wystawienie nowych formacji bojowych. Poza tym część ochotników zgłaszała się wprost do oddziałów legionowych biorących udział w ofensywie letniej na terenie Królestwa.

Ordre de bataille w chwili wzięcia Warszawy wykazuje załączony allegat, a wynosił w sumie 2 i pół brygady piechoty, 2 dywizjony kawalerii, 5 bat. artylerii wraz z odnośnymi oddziałami karabinów maszynowych, sanitarnymi i technicznymi. Zdobyte Warszawę mogło stać się znów przełomowym momentem dla sprawy polskiej, a więc i polskiego wojska. Nadzieje żywiące w tym kierunku prędko się rozwinęły, gdyż Legiony nie tylko nie zostały dopuszczone do stolicy kraju, lecz, przeciwnie, władze okupacyjne niemieckie powstrzymały ruch wojskowy w ogóle. Po wymarszu pierwszych kompanii warszawskich z dawnych organizacji strzeleckich werbunek do Legionów został zakazany. Ochotnicy musieli częstokroć pod ogniem karabinów niemieckich straż kordonowych przekradać się nocami na okupację austriacką i stamtąd dopiero szli na front, by bić się wspólnie z austriackimi i niemieckimi oddziałami przeciw Rosji. Książki i opisy bitew legionowych podlegały konfiskacie, najpoważniejsi przedstawiciele politycznych przyjaciół legionowych byli aresztowani i wywożeni do obozów jeńców (np. ks. Kanonik Zak z Wrocławia za znalezie-

nie cenzuralnych na okupacji austriackiej pism legionowych skazywany na 3-letnie więzienie, adwokat Bobakiewicz w Łodzi). Szczęście bliźni i zbieranie podarków dla polskich żołnierzy walczących ramię przy ramieniu z żołnierzami niemieckimi zaliczano do zbrodni politycznych; rodzice Legionistów należeli do politycznie podejrzanych; ochotnicy, przyłapani przez tajną policję niemiecką, biciem byli terroryzowani. Prześladowanie Legionów — oto jedyna ocena ówczesnego stosunku niemieckich władz okupacyjnych do polskiego ruchu zbrojnego, a wykonywane było ono nieraz przy pomocy dawnej ochrony rosyjskiej. Nie więc dziwnego, że reakcja społeczeń-

stwa i kół jego nawet aktywistycznie usposobionych była ogólna nieufność, a czasami wprost nienawiść do rządów niemieckich. W ciągu drugiego roku wojny nie zaszły żadne zmiany na lepsze i tylko wytrwałości żołnierzy legionowych i uzupełnieniu wysłanym przez Departament Wojskowy na front należy zawdzięczać, że akcja wojskowa polska nie tylko nie załamała się, lecz, przeciwnie, ilościowo nawet się zwiększała. Bitwy jesienne z roku 1915 nad Styrem, które w Niemceju mierze rozstrzygnęły o utrzymaniu ważnego punktu węzłowego Kowla, wykazały znów wysoką wartość bojową Legionów, uznana w rozkazach odnośnych korpusów austriackich i niemieckich, choć pomijana w rozkazach wyższych komend i urzędowych komunikatach. Praca wewnętrzna w Legionach nie ustawała jednak, a objawiała się w kształceniu szkolnym dalszych kadr oficerskich i podoficerskich, w organizacji polskiego szpitalnictwa wojskowego, sądu polowego i żandarmerii, w opracowaniu szeregu regulaminów i podręczników polskich i w uzyskiwaniu pomimo tylu trudności dalszej samodzielności wewnętrznej.

Dopiero we wrześniu 1916 roku uży-

nie zostały wycofane z frontu, lecz tylko przeniesione do Baranowicz, a więc na teren operacji wojskowej jako rezerwa armii. Akt z 5 listopada 1916 roku³⁾, decydujący dla politycznego istnienia państwa polskiego, nie stał się nim dla tworzenia armii. Deputacja Legionów została dopuszczona do Warszawy na uroczysty akt proklamacji, lecz niebawem ogłoszona odezwa werbunkowa do „Wojska Polskiego”⁴⁾ ze strony państw centralnych i podpisana jedynie przez obu general-gubernatorów, z trzech względów mogła tylko zaszkodzić, a nie pomóc, w tworzeniu armii polskiej. Względami tymi były:

1. Pośpieszne jej wydanie, bez jakiegokolwiek udziału narodu polskiego, co łatwo mogło być tłumaczonym po dwuletnim doświadczeniu w ten sposób, iż cały akt z 5 listopada był tylko pretekstem dla uzyskania świeżego rekruta polskiego w przewidywaniu ciężkiej ofensywy wiosennej.

2. Formuła przysięgi ogłoszona przez państwa centralne, która poza przysięgą na ojczyznę, obejmowała przysięgę na imię i na wierność głównodowodzącemu cesarzowi Wilhelmowi II. nie zaznaczała charakteru narodowego przyszłej armii, a stała nawet w sprze-

czności z ustawami Konwencji Haskiej według § 23, 52 i 45.

3. Pominięcie jedynie istniejących kadr wojskowych polskich Legionów przy budowie armii. Legiony miały jedynie wejść w skład nowego wojska polskiego, nado w programie niemieckim nie przewidywano utworzenia artylerii, a więc broni, która decyduje o wojskowej samodzielności.

Skutek tej odezwy był taki, że nawet najbardziej aktywne czynniki społeczeństwa polskiego zwróciły się przeciw tworzeniu armii na tych warunkach.

Ze strony polskiego społeczeństwa wysunięto następujące postulaty:

1. Legiony Polskie mogą być jedy-

Sprawa Armii Polskiej (2)

Stanisław Rostworowski

stwa i kół jego nawet aktywistycznie usposobionych była ogólna nieufność, a czasami wprost nienawiść do rządów niemieckich.

W ciągu drugiego roku wojny nie zaszły żadne zmiany na lepsze i tylko wytrwałości żołnierzy legionowych i uzupełnieniu wysłanym przez Departament Wojskowy na front należy zawdzięczać, że akcja wojskowa polska nie tylko nie załamała się, lecz, przeciwnie, ilościowo nawet się zwiększała. Bitwy jesienne z roku 1915 nad Styrem, które w Niemceju mierze rozstrzygnęły o utrzymaniu ważnego punktu węzłowego Kowla, wykazały znów wysoką wartość bojową Legionów, uznana w rozkazach odnośnych korpusów austriackich i niemieckich, choć pomijana w rozkazach wyższych komend i urzędowych komunikatach.

Praca wewnętrzna w Legionach nie ustawała jednak, a objawiała się w kształceniu szkolnym dalszych kadr oficerskich i podoficerskich, w organizacji polskiego szpitalnictwa wojskowego, sądu polowego i żandarmerii, w opracowaniu szeregu regulaminów i podręczników polskich i w uzyskiwaniu pomimo tylu trudności dalszej samodzielności wewnętrznej.

Dopiero we wrześniu 1916 roku uży-

nymi kadrami wojska polskiego i organami werbunku ochotniczego.

2. Wojsko polskie może powstać jedynie na podstawie odezwy werbunkowej wydanej przez uprzednio stworzone organa rządu polskiego.

3. Formacja nowego wojska musi zapewnić choćby elementarną samodzielność bojową, a więc obejmować wszystkie trzy rodzaje broni.

4. Równoległe z tworzeniem armii muszą iść koncesje polityczne w dziedzinie tworzenia organów państwa polskiego (szkolnictwo, sądownictwo, skarbowość itd.).

Zimą roku 1916—1917 wypełniły rokowania w sprawie tych postulatów. Jedynie pod presją ogólnej opinii publicznej władze okupacyjne zdecydowały się postępować krok za krokiem w spełnianiu stawianych postulatów. O powolności, choć niezaprzeczalnej kierunku tych ustępstw dowodzą następujące fakty:

1. W końcu listopada władze okupacyjne zgodziły się na użycie legionowych oficerów i żołnierzy jako organów zaciągowych do armii polskiej. Dawny Departament Wojskowy, zamieniony na centralę werbunkową pod komendą płk. Sikorskiego, uzyskał utworzenie aparatu werbunkowego, zorga-

GWOZDZ DO TRUMNY CENTRALISTYCZNEJ GOSPODARKI

Ciąg dalszy ze str. 1

dejmowane w taki sposób, są nieprecyzyjne, często błędne, prawie zawsze nieefektywne.

Wydać się, iż system „administracyjno-wojskowy” może być efektywnie stosowany jedynie w skali gminy i że mentalność dużej części przywódców gospodarczych i politycznych poza mentalność naczelnika gminy nie wykraczała. Nie byłaby to jednak cała prawda. System centralistyczny jest bowiem systemem sprawowania (realizowania) władzy politycznej w sferze gospodarki. Wszyscy obywatele zostają mianowani żołnierzami armii gospodarczej kraju, zaś armia ta dowodzą zastępcy dyrektorów, naczelników, kierowników i dowodzenie to jest stosunkowo proste i łatwe. Marna jest tylko efektywność, ale „dowodzi się” gospodarką na cudzy rachunek i rachunek ten zawsze płaci społeczeństwo, zaś „dowódca”, nawet jeżeli okaże się całkowicie nieudolny i nieuczciwy, przeniesiony zostanie za karę jedynie na „inne, równie odpowiedzialne stanowisko”, by dalej rozkładać gospodarkę.

2 Zbyt długa jest w systemie centralistycznym droga obiegu informacji. Powoduje to, że po drodze pojawiają się „szumy” i wszystkie informacje, zarówno idące w dół polecenia, jak i idące odwrotną drogą sprawozdania, przechodząc przez cały szereg „transformatorów”, docierają do adresatów mocno zniekształcone. Dystrybucja informacji dzieli społeczeństwo na swoje rodzaje klasy i celem polityki informacyjnej jest petryfikacja tego stanu. Posiadanie pełniejszej informacji niż podwładny staje się jednym z kanonów władzy urzędniczej. Dół drabiny wasalnej jest w ogóle pozbawiony informacji. Na jego użytek informacje zamienia się w propagandę sukcesów władzy: gospodarczych, politycznych. Dlatego naród karmiony propagandą sukcesu nie wiedział o olbrzymim zadłużeniu za granicą, o przestępczości gospodarczej z pozorami legalności, o „eldorado” polskich handlowców „zagranicznych”, o zdewastowaniu środowiska, wypadkach przy pracy, chorobach zawodowych itp. Nie wiedział także nie o sposobie sprawowania władzy i sposobie podejmowania decyzji gospodarczych. Ponieważ również informacja idąca do góry była w wielu miejscach „destylowana”, docierała ona do swych dostojnych adresatów w formie

szczętkowej, mocno poróżnionej i uszmiętkowanej dochodziło do sytuacji, kiedy góra (centrum) wiedziała co innego, a dół (społeczeństwo) co innego. Centrum, podejmując decyzje na podstawie swoich, w niewielkim jedynie stopniu prawdziwych informacji, uzyskiwało w odpowiedzi nie „odzew” gospodarki, a przede wszystkim optymistyczne sprawozdania, opisujące wymaganą rzeczywistość. Sygnał centrum nie uruchamiał więc rzeczywistego działania, a głównie działalność sprawozdawczą. Optymistyczne wizje góry podbudowane były w ten sposób optymistyczną informacją, zaś gospodarka żyła własnym życiem, przystając się co najwyżej odświętnie z okazji wizyt dostojników państwowych. Czy można w tej sytuacji dziwić się, że obraz gospodarki był w umyśle E. Gierka tak optymistyczny i że „jego” Polska była już w XXI wieku? Wszędzie widział obory pełne krów i świń (skąd miał wiedzieć, że zwierzonych na specjalną okazję), czyste zakłady pracy i zadowolonych robotników wygłaszających płynnie wyuczone odpowiedzi na jego stereotypowe pytania, pełne sklepy (specjalnie zaopatrywane na specjalną okazję), piękne zagrody chłopskie (bo tylko do takich go wzięto) wyposażone w — zwożony z całego wiojewództwa — sprzęt domowy gospodarzy itp. Te starannie reżyserowane przedstawienia zyskiwały taką popularność, że nawet niektórzy wojewodowie, jadąc na inspekcję żywnościowego zaopatrzenia wsi, wysyłali przed sobą samochód wiozący to zaopatrzenie.

3 System centralistyczny rodzi nieuchronnie biurokrację i to jest, jak się wydaje, największy wrzód na ciele gospodarki socjalistycznej. Sytuację przewidywał już Lenin, który na przedstawionym mu do zaopiniowania projekcie konstytucji radzieckiej, na marginesie zdania, że Związek Radziecki jest państwem robotników i chłopów, napisał: „ale z biurokratycznym wypaczeniem”.

Biurokracja po przekroczeniu pewnego progu przestaje służyć, a zaczyna panować, zaczyna mieć własne interesy, rozwija się i reprodukuje już nie ze względu na interes społeczeństwa, a ze względu na swój interes własny. Wyrasta ona ponad społeczeństwem i w sytuacji, kiedy brak kontroli (a w gospodarce centralistycznej faktycznej kontroli nie ma), staje się de facto właścicielem środków produkcji i — co nieuchronnie zjawia się jako efekt ostateczny i ukoronowanie procesu alienacji biurokracji — także właścicielem siły roboczej, czyli — mówiąc bardziej dosłownie — właścicielem społeczeństwa.

4 System centralistyczny prowadzi do atrofii wszelkiej inicjatywy ludzkiej, której tu zresztą nikt nie oczekuje, a której władze się boją. Hierarchia urzędnicza zbudowana jest na zasadzie wojskowego posłuszeństwa; jedyną rzeczą, której oczekuje się od podwładnych, jest właśnie posłuszeństwo i lojalność. Inicjatywa podwładnego (niezależnie od tego, czy jest nim minister, czy goniec) jest rzeczą niebezpieczną, którą należy stłumić, by nie przyćmił czymkolwiek absolutnej doskonałości przełożonego, a w przyszłości nie zechciał zająć jego miejsca. Dlatego człowiek zdolny, wykształcony, prężny itp. nie tylko że nie jest chętnie przyjmowany do pracy, awansowany, nagradzany, ale wprost przeciwnie — aż do momentu, kiedy stłumi w sobie te wszystkie cechy, stanie się bierny, nierozgarnięty, posłuszny i uległy, okazując przy każdej okazji, że jego przełożony jest uosobieniem wszystkich cnót i zalet.

W skali społecznej prowadzi to do bezpowrotnego marnowania na olbrzymią skalę talentów i ludzkiej pomysłowości, inicjatywności i energii; normalne staje się kupowanie za granicą licencji na produkcję młotek czy łopaty, w sytuacji, kiedy liczba inżynierów przypadająca na 1 tys. mieszkańców należy w Polsce do najwyższych w świecie.

Strategia działania ludzkiego polega w systemie centralistycznym wyłącznie na słuchu „góry”, a co najwyżej na zgadywaniu jej życzeń oraz dostarczaniu optymistycznych sprawozdań. „Dół” jest taskawie, lecz selektywnie (górnicy, kobiety, kolejarze, dzieci, gospodynie wiejskie, budowlani itp.) dostrzegany, nauczany, oświecany, czasem nagradzany, a w szczególnych przypadkach (np. strajki lat 70-tych) kupowany. Nie było wprawdzie w Polsce sytuacji, jaką można jeszcze dziś spotkać w niektórych krajach, że przywódca (oczywiście umiłowany) uczy malarzy jak malować, hutników jak wytapiać surowkę, pisarzy jak pisać, lekarzy jak leczyć itp. Ale kto wie, czy marzenia o tym nie drzemały w umysłach naszych dygnitarzy.

Nikt w systemie centralistycznym za nic nie odpowiada, bo każdy jedynie wykonuje rozkazy zwierzchnika, który wie więcej i który ma nad sobą jeszcze mądrzejszego zwierzchnika. Głównie decyzje pochodzą od ludzi „nieomylnych”, którzy w związku z tą „nieomyślnością” zwolnieni są z jakiegokolwiek odpowiedzialności moralnej, materialnej, prawnej. Ponadto wszystkie ważniejsze urzędy są dublowane, co powoduje, iż każdy urzędnik ma współnika do ponoszenia odpowiedzialności.

W poszukiwaniu stylu narodowego

Mieczysława Demerka-Trębaczowa

Urodziłem się tego dnia i o tej samej godzinie, co i Karol Szymanowski, ale o rok wcześniej od niego. Życie jego i moje są kategorycznie różniące, zarówno jak i charakter, i dążności artystyczne. Kto ciekaw, niech zestawia życie nas obu... — pisał Ludomir Michał Rogowski, kompozytor, dyrygent i po części literat. Wbrew temu, co mówił o sobie, jego dążności artystyczne nie odbiegały w istocie od tych, jakie prezentował K. Szymanowski. W twórczych estetykach obu kompozytorów istniało wiele momentów zbliżonych. Wobec pewnych problemów życia i twórczości przyjmowali postawę podobną. Obydwaj byli artystami ciągle poszukującymi nowych technik organizacji materiału dźwiękowego. Obydwaj w latach młodzieńczych dążyli do rozgłosu. Obydwaj sięgali po pióro, aby zamianować poglądy estetyczne. Obydwaj też u progu lat dojrzałych sformułowali swoje artystyczne credo. Natomiast życiorysy obu artystów różnią się niezmiennie.

Ludomir Michał Rogowski urodził się w Lublinie 1 października 1881 roku — w antycznej dzielnicy miasta, też na Bramie Krakowskiej — jak pisał — w domu bardzo starym, noszącym nazwę „Pod Czarnym Orłem”. Wykształcenie ogólne otrzymał w lubelskim gimnazjum, a muzyczne w Instytucie Muzycznym Warszawskim. Studia w zakresie kompozycji odbył pod kierunkiem Z. Noskowskiego, zaś dyrygentury uczył się u E. Młynarskiego. Po ukończeniu Instytutu w roku 1905 rozpoczął peregrynacje po zachodnioeuropejskich ośrodkach muzycznych: studiował w Lipsku, Monachium i Rzymie. Jego zainteresowania znacznie wykraczały poza muzykę: zajmował się akustyką, „pracował nad szukaniem plastycznymi”, sporo czasu poświęcał okultyzmowi. Wędrowki swoje przeżywał, by powrócić do kraju i podjąć tu pracę zawodową. Bezpośrednio przed wybuchem pierwszej wojny światowej na dłuższy okres wyjechał do Francji. Przebywał w środowisku paryskiego Montmartre'u, w gronie ówczesnej bohemy artystycznej, a w roku 1917 znalazł się na południu Francji w Villefranche pod Niceą. Po powrocie do kraju w roku 1921 Rogowski rozpoczął szeroką działalność artystyczną: jako kompozytor, ilustrator muzyczny, publicysta muzyczny i dyrygent. Jednakże w roku 1925 opuścił Polskę i osiadł w Dubrowniku. Nad Adriatykiem pozostał już do końca życia, rzadko opuszczając Dalmację. Schronienie znalazł w otrzymanym od władz misja bezpłatnym pokoju, w dawnym klasztorze św. Jakuba. Prowadził skromne życie samotnika, twierdząc, że tu właśnie znalazł „dogodne warunki” do tworzenia swojej „filozoficznej” muzyki. Zmarł w Dubrowniku 18 marca 1954 r.

Nie znalazły zrozumienia koncepcje estetyczne, ani też twórczość muzyczna Ludomira M. Rogowskiego. Kompozytor nie pozyskał zwolenników i nie pod jego wpływem kształtowała się muzyka polska XX wieku. Nie stał się indywidualnością na miarę swojego rówieśnika, K. Szymanowskiego. Dobrowolnie przecież zdecydował się na odosobnienie, a tym samym wyrzekł się wpływów i sławy.

Kontakt z muzyką rozpoczął Rogowski od studiowania utworów tradycyjnych i tradycyjnej teorii muzyki. Był to dla artysty jednak tylko punkt wyjścia: młody muzyk zapragnął przebudować wszystkie elementy języka muzycznego. Właśnie w okresie pobytu na południu Francji w latach 1917—19 odkrył, że „stary znany materiał, z którego zbudowano tyle arcydzieł, dzisiaj może służyć tylko człowiekowi nie znającemu arcydzieł i nieświadomemu zapożyczeń, kradzieży, jakie popełnia — komponując swoją muzykę — bezwiednie w upojeniu twórczym”. Formułując własny program artystyczny, Rogowski odwołał się do specyficznej tradycji, do archaicznych zasobów muzyki ludowej Eurazji i w nich szukał inspiracji: „od najmłodszych lat kochałem głęboko naszą pieśń ludową, a najbardziej wzruszały mnie nasze melodie prastare i w jakiś tajemniczy sposób wiązały mi się one ze Wschodem, jakimś dalekim, nieznanym, wymarzoną Wschodem”.

Przedmiotem adoracji artystycznej Rogowskiego stała się więc muzyka ludowa, podniesiona do rangi „muzyki przyszłości”. Formułowanie programu tej muzyki i praktyczna realizacja założeń artystycznych następowały stopniowo. Pierwszą deklaracją kompozytorską została zawarta w eseju „Muzyka przyszłości. Przyczyńki i szkice”, którego tekst polski został ukończony 17 sierpnia 1919 r. w Villefranche, a ukazał się drukiem w Lublinie w roku 1922. Ta wypowiedź Rogowskiego stała się wyznacznikiem jego przyszłej drogi życiowej i artystycznej. Znacząco ją oderwanie się od kręgu kultury francuskiej, a dojście do „perskiej prasłowiańszczyzny”. Charakterystyczne, że owa zdumiewająca woła w poglądach nastąpiła właśnie w czasie pobytu we Francji. Jakby w opozycji do środowiska krystalizowała się zatem nowa koncepcja przyszłej muzyki. W okresie powstania eseju „Muzyka przyszłości” kompozytor wprowadził do swoich utworów dotychczas niestosowany w muzyce artystycznej kompleks skal. W kręgu tych poszukiwań powstały najbardziej liczące się utwory Rogowskiego: „Fantasmagories”, „Villafranca”, „Tamara”. W następnych latach kompozytor wiele eksperymentował. Pełna krystalizacja jego języka dźwiękowego nastąpiła około roku 1936. Wówczas mógł już powiedzieć: „W tym kierunku całe życie szła moja twórczość muzyczna uparcie, bez względu na szyderstwa i przykrości ze strony kolegów i snobów, pragnących mnie namówić na normalną, wygodną drogę umiłowania uwielbianego Zachodu”. Wprowadził jeszcze nową skalę, którą nazwał „słowiańską”. Zdaniem kompozytora, w tej to skali za-

waria została esencja właściwości tonalnych polskiej muzyki ludowej i skali arabsko-perskiej. Rogowski wiele razy dawał wyraz przekonaniu, że jedynie pokrewieństwo kulturowe Słowian z języką „kulturą prastarą, którą umiejscowić można gdzieś w okolicach Persji”. A Polacy są „pierwszym Narodem Wschodu, nie ostatnim Zachodu”.

Kiedy wreszcie udało się artyście „wyrwać z narzuconego mu przez tradycję szablona muzyki europejskiej i opłótować techniką nową”, napisał Symfonię „Radosną” i „Zjawy”. Wówczas też po raz pierwszy sięgnął po pióro, by przedstawić zasady swojego miłośnika kompozytorskiego. Tak powstał w roku 1937 artykuł „Pro domo sua”. Jest to ostatnia prasowa wypowiedź we własnej sprawie dojrzałego już artysty. Za uzupełnienie manifestów kompozytora można uważać artykuł z roku 1935 „O mojej twórczości słów kilkoro”. Zawiera on autobiograficzne dane określające okoliczności przełomu w Villefranche. Wiele informacji o życiu artysty dostarczają również nieopublikowane „Wspomnienia, pamiętnik L. M. Rogowskiego”. W rękopiśmie pozostał też „Mój klasztor” — opowieść o żywocie kompozytora, kreowanym w imię idei i z zamiarem realizacji jej do końca. Pisana ręką starca, stała się jego rozliczeniem z życiem. Była próbką pojednaniem z samotnością, wyrazem zgody na zapomnienie, na które artysta sam siebie skazał.

Faza twórczych poszukiwań i intensywnych eksperymentów przypadła na ten okres, który Rogowski spędził w Dubrowniku. W samotni na słowiańskiej Riwierze znalazł artystyczną formułę, którą „los mu wskazał przez pieśń piastunków”. Swoją wyspekulowaną gramatykę muzyczną stosował konsekwentnie do końca życia.

Ambicje kompozytora do oparcia twórczości na własnych zasadach organizacji materiału muzycznego nie były w jego czasach odosobnione. Idee Rogowskiego korespondowały z tymi, które głosił „burzyciele” dawnego porządku artystycznego z początków naszego stulecia. Pozostawały zbliżone ze współczesnymi pomysłami Bartoka. W zakresie zastosowania materiału skali słowiańskiej wyszedł kompozytor dalej poza środki stosowane przez K. Szymanowskiego. Dla obu tych twórców wspólna jest tendencja do odnowy muzyki poprzez nasyconie jej świeżymi i nieskażonymi profesjonalizmem intonacjami muzyki ludowej. Stanowiła ona jedno z ogniw przeobrażeń myślenia muzycznego naszego stulecia, reakcję na stan kryzysowy, jaki wytworzył się w wyniku upadku tradycyjnego systemu muzycznego. Indywidualna i pełna ryzyka artystycznego decyzja, jaką podjął Rogowski, nie okazała się bezowocna. Proces odnowy języka muzyki europejskiej poszedł właśnie w tym kierunku, który proponował Rogowski już w roku 1919 w eseju „Muzyka przyszłości”.

Twórca-modernista, odrzucający tradycje Europy, dążył zarazem do samookreślenia się jako artysta polski. W konkluzji do artykułu „Pro domo sua” pisał: „my jesteśmy napiętnowani na zawsze jako naród pawia i papugi, szeregównej papugi, i ci, którzy przypominają sobie prawdziwe oblicze Narodu, niosąc własne słowa, skazani są na uk-

GWÓDZ DO TRUMNY CENTRALISTYCZNEJ GOSPODARKI

Dokończenie ze str. 9

RSP, SKR czy innych mniej bezpośrednich i jawnych form. Stąd olbrzymie dotacje i topienie masy mawozów sztucznych, maszyn i innych środków produkcji, stąd wielu oddelegowanych tu specjalistów, których zabrakło dla rolnictwa chłopskiego, stąd ideologiczna niewygodność chłopskiego gospodarstwa. Stąd kulacy i wolki zbożowe, stonka itp. nagonka na gospodarkę prywatną wielkoobrotową, później — drobną, bo — jak powiedział kiedyś Stalin — „nie jest ważne, by rozwijała się produkcja, ważne jest, by rozwijała się produkcja specjalistyczna”. Od czasu, kiedy słowa te wypowiedziano, zmieniały się nie cele, a jedynie metody, i chłop nigdy nie był pewien swojej własności, którą w każdej chwili mógł mu zabierać naczelnik, stwierdzając, że jest nie wykorzystana.

Nie tylko Pan Bóg wolał niskim plonem i brakiem samowystarczalności żywnościowej Polski w sytuacji, kiedy dysponujemy znaczną ilością słowiańsko-żywej ziemi. Niezwykle drogie, trudne do zdobycia i bardzo niej jakości (nienowoczesne i tandemnie wykonane) środki produkcji dla rolnictwa, chaotyczny system cen produktów rolnych, poddanie chłopów samowoli urzędników gminnych i zlikwidowanie nawet pozorów samorządności, chwiejna, ciągle zmieniająca cele, środki i metody polityka rolna, częste zmiany ustawodawstwa, rozrost urzędów obsługujących chłopów, brak instytucji mogących go bronić, korupcja w urzędach gminnych i GS itp. doprowadziły do całkowitego chaosu i zdecydowanie utrudniły funkcjonowanie rolnictwa i rozwój produkcji rolniej. Tak doszło do tego, że cała w zasadzie gospodarka żywnościowa, poza może samym rolnictwem indywidualnym, nadaje się dziś jako przedmiot badań nie dla eko-

nomisty rolnego, a dla specjalisty z zakresu prawa karnego.

Tanłość kredytu dla pewnych grup rolników doprowadziła do powstania rzeszy kombinatorów i cwaniaków, stąd tysiące fikcyjnych gospodarstw specjalistycznych, gospodarstw zespołowych, wiele fikcyjnych inwestycji rolniczych itp. Jeżeli dodamy do tego fikcyjną hodowlę bydła i trzody chlewnej w PGR, repywatyzację ziemi i majątku SKR przez bonzów gminnych, zaniedbania w dziedzinie oświaty, ochrony zdrowia itp. i jeżeli wiemy, że chłop nie jest w stanie kupić bez łapówki nawet widel, przestajemy dziwić się, że nie ma mięsa oraz że importujemy systematycznie zboże.

9 Cechą systemu scentralizowanego był wreszcie oficjalny optymizm i dostrzeganie jedynie tego, co optymistyczna wizja świata (naszego) potwierdziła. Fakty nie budzące owego optymizmu pomijane były milczeniem, zaś najczęściej po prostu niedostrzegane. Dlatego w rocznikach statystycznych wszystko nieustannie wzrastało (z wyjątkiem wskaźników opisujących ciemniejszą stronę rzeczywistości, które to wskaźniki — co oczywiste — systematycznie spadały), dlatego tak jasny był obraz naszej i tak ciemny obraz naszych ideowych wrogów rzeczywistości („tam bezrobocie, strajki, głód; tu praca, natchniony traktor” — jak pisał niedawno Broniewski).

Dlatego naukę, a zwłaszcza nauki społeczne, traktowano poważnie jedynie wówczas, kiedy przedstawiały one pozytywne sady i optymistyczne prognozy, ignorowano zaś, kiedy była odwrotnie; „angazowie stanu bowiem — stwierdził kiedyś Leighton — korzystają z nauk społecznych w taki sposób, jaki pijak z latarnią: nie szukają tam światła, tylko oparcia”. I dlatego odrzucono na zasadzie dogmatu tezę o malejącej przydatności w rolnictwie, zakwestionowano coraz szybciej przyszłość ludności świata, nie zauważono inflacji, bezrobocia i zwycięskiej nędzy, zjawisko, których nie zdołał wyeliminować nasz „dynamiczny” rozwój. Dlatego zdewastowano środowisko, zatruto rzeki, zniszczono lasy, uczyniono pustynią ze Śląska, ponie-

waż, jak dowodzili niektórzy poważni i cenieni ekonomiści, był on ciągle niedoinwestowany (w porównaniu np. z zagłębem Rury, czy okręgiem paryskim). Dlatego prowadziła się bezlitośna, rabunkowa gospodarka w zakresie kopalnictwa surowców i dlatego zapewne praktycznie nie zbierała się i nie zagospodarowywało surowców wtórnych. Dlatego nasz wielki i nowoczesny przemysł pozabawiony jest dziś oczyszczalni ścieków, zaś jego wspaniałe kominy codziennie wypływają w powietrze tony pyłów. Kiedy jednak widzi się jedynie to, co widzieć się chce, wszystko to nie ma znaczenia, bo — mocą dogmatu — nie istnieje. Wystarczy jedynie otoczyć się złotoustymi uczonymi doradcami, którzy wszystko, co wygodne, potwierdzą i naukowo udowodnią, bądź uzasadnią.

W efekcie władza ma swój własny, kreowany mocą dogmatów świat, o tym świecie czyta pełne optymizmu sprawozdania i o nim wygłasza przemówienia; uczeni piszą o tym świecie — atrybie rozprawy naukowe, dziennikarze — reportaże, zaś poeci — wiersze. Ponieważ i społeczeństwo uczy się widzieć króla w szatach, wszystkim rolni się przykro, kiedy ktoś zawoła, że król jest przecież nagi i kiedy nie można już dłużej odważyć, że się tego nie widzi.

Z tego to właśnie, nasakowanego grubymi jedynie liniami, chaosu rodzi się obecnie nowa Polska. (Nie „druga Polska”, bo pojęcie to wydskazywane w ostatnich latach). Narodziny te są niezmiernie trudne i zapewne wielu wydać się nie-możliwe. Są jednak konieczne, choć system scentralizowany ademonizował radzących i radzących, urzędników i robotników.

Szansa się zachodząca obecnie przemiany politycznej, które zaczynać z nas jako „wzorka kartofli” tworzyć na powrót społeczeństwo, zaś jego członkiem przywracać poczucie podmiotowości politycznej i zwyczajnej godności ludzkiej. Szansa są przemiany gospodarcze, które przyniosły powolną reformę gospodarczą, bez nich bowiem przemiany polityczne będą jedynie czasowe i powierzchowne.

Jan Waszczyński

mienowanie lub też na przemilczenie". W imię dobra narodu wystąpił Rogowski ze swoim programem artystycznym i wyrażał wiarę, że znajdzie się ktoś, kto pójdzie tą samą drogą, drogą odrodzenia "Ducha Narodu". Był więc kompozytor wyrażycielem tych nurtów w międzywojennej Polsce, których przedstawiciele w warunkach restytucji państwa nie czuli się zwolnieni od obowiązku patriotycznej służby. I w tym Rogowski podobny jest do K. Szymanowskiego.

Rogowski opowiedział się za stylem narodowym w wydaniu zbliżonym do tego, jaki proponowali formiści czy grupa "Rytm" w plastyce. Widział potrzebę łączenia najnowszych tendencji stylistycznych z ideą stworzenia odrębnej sztuki narodowej, czerpiącej z najstarszych, najpierwotniejszych tradycji. Szymanowski poszukiwał ich na Kurpiach i Podhalu, Rogowski znajdował je także w śpiewanych na Lubelszczyźnie melodiach, które poznał dzięki matce i białoruskiej niani. Styl, jaki w wyniku tych poczynań miał wytworzyć, łączył prymityw z nowoczesnością, zaś nowoczesność z narodowością. Obydwaj kompozytorzy wyznawali zatem wspólną ideę, każdy z nich widział ją jednak w innym świetle. Rogowski nawoływał do odróżnienia się z szarości „narzuconego kosmopolityzmu”. Poszukiwał długo „prawdziwego charakteru polskiej muzyki” zanim odkrył, że „zdobnicstwo ludowe, zwyczaj, przesada, stroje, budynki, wszystko pochodzi z jakiegoś Wschodu, jak te prawdziwe nasze melodie”. Szymanowski — przeciwnie, nawoływał do europejskości. Muzyka polska ma być narodowa i europejska — żądał twórcy „Harnasów”. Oba jednak kompozytorzy byli zgodni świadomości tego, iż formy, środki narodowego stylu polskiej muzyki należy stworzyć.

W sprawie tworzenia stylu narodowego muzyki polskiej angażował się Rogowski nie tylko jako twórca koncepcji nowego języka muzycznego, ale również jako propagator polskości w ogóle. Przebywając z dala od ojczyzny, śledził uważnie to, co działo się w ojczyźnie. Za zasadniczą bolączkę ówczesnej kultury polskiej uważał „adorowanie Europy” i to, że „dzieła sztuki są oceniane z punktu widzenia europejskości tej muzyki”. W tym względzie był oponentem Szymanowskiego. Irytowało go, że z punktu widzenia opinii społecznej brak „emisji na zachodzie” brany był za oznakę braku talentu twórcy. Jako „naród papugi” o własnych, oryginalnych dążeniach odzywamy się wobec Europy ze wstydliwym zażenowaniem, jakby usprawiedliwiając się „odstępstwem od mody wielkiego świata”.

Zbliżenie sylwetki L. M. Rogowskiego nasuwa dzisiaj wiele refleksji. Był niewątpliwie postacią oryginalną: wizjonerem, myślicielem, twórcą opartą na własnej woli odnowy muzyki od jej podstaw, a jednocześnie fanatykiem własnej idei, której dostatecznie i przekonująco nie uzasadnił. Do realizacji wytkniętych przez siebie celów wykorzystał wszystko, czym dysponował: talent kompozytorski, sprawne pióro, zmysł polemiczny i całą energię życiową. Ale czy rzeczywiście wszystko wykorzystał, czy postąpił słusznie odsuwając się do nadadriatyckiej samotności? Chyba nie. Poprzez społeczną izolację sam siebie skazał na zapomnienie.

KRONIKA

- Prezesem lubelskiego Sądu Wojewódzkiego został Zdzisław Markowski. Nominacja nastąpiła po konsultacji resortu sprawiedliwości z sędzią naszego środowiska, jako pierwszą w kraju w tym właśnie trybie.
- Dzisiaj tłumy obiegają także przybytki kultury, o czym można się było przekonać podczas koncertu Japonki Keiko Urushihare (II nagroda na poznańskim konkursie im. Wieniawskiego) w Lubelskiej Filharmonii, a także w czasie akcji Jerzego Beresia w Bursie Wystaw Artystycznych, która odbyła się 6 listopada.
- W tej chwili Lublin potrzebuje: 17 budynków szkolnych, 50 przedszkoli, jednej szkoły specjalnej, dwóch liceów ogólnokształcących, 35 sal gimnastycznych, 15 poradni wychowawczo-zawodowych. Tymczasem dzieci uczą się na trzy zmiany, a perspektywy poprawy tej sytuacji są żalotne.
- Jak poinformował prasę dyr. Adam Nataneł, Filharmonia Lubelska dała kilka koncertów we Włoszech, m.in. w Turynie, wszędzie zyskując aplauz słuchaczy. Prawdopodobnie w najbliższych dwóch latach muzyka lubelska znów będzie gościła w Italii.
- Z powodu braku wielu materiałów budowlanych nadal opóźnia się wznoszenie wielkiej odlewni w pobliżu ESC. A maszyny i urządzenia z importu, o wartości ponad 2,5 mil. zł, czekają bezproduktywnie na montaż. Niektóre z nich stracą niedługo gwarancję.
- Teatr im. J. Osterwy wystawił „Maskaradę” Jarosława Iwaszkiewicza. Opinie na temat spektaklu: różne. Niektórzy twierdzą, że Bruno O'Ya w roli cara Nikołaja zaimponował głównie posturą. Nie ulega natomiast kwestii oryginalność plakatu przedstawienia wg projektu Nikołaja Smocznego (który niedawno miał interesującą wystawę swych prac plastycznych w poznańskiej Galerii O. N.).
- W tym roku na Lubelszczyźnie zabraknie ok. tysiąca miejsc pracy dla absolwentów szkół wyższych, w tym 300 dla inżynierów.
- Malo znane, lub nieznanie w Lublinie prace pokazał w Naleczowie Piotr Kmiec, którego twórczość prezentowali już (z satysfakcją) w „Kamieniu”. Wystawy w Małej Galerii przy ul. Lipowej 36 i w Pałacu Malachowskich czynne będą do 26 listopada. Polecamy.
- Muzeum Gutenberga w Moguncji (RFN) wydaje od 1971 roku tematyczne kalendarze „Scriptura”, poświęcone fenomenowi pisma na różnych obszarach kulturowych i prezentujące twórczość grafików świata. W wydawnictwie na rok 1981, zatytułowanym „Pismo i Ornament”, opublikowano m.in. prace Andrzeja Kota z Lublina. Wszystkie dotychczasowe kalendarze były niedługo wystawiane w porcie lotniczym Frankfurtu n. Menem. Kto nie zna prac A. Kota, niech przegląda nasze czasopismo.
- Redakcja „Encyklopedii Katolickiej”, wydawanej przez Towarzystwo Naukowe KUL, otrzymała doroczną nagrodę edytorską polskiego PEN Clubu, co odnotowujemy z uznaniem.
- Doroczną Nagrodę Wojewódzkiego Lubelszczyzny za publicystykę o tematyce kulturalnej przyznano naszemu koleźce redakcyjnemu, Mirosławowi Dereckiemu, najstarszemu (stażem) pracownikowi „Kamienia”. Zespół gratuluje raz jeszcze.

OKOLICE SZTUKI

NADPRODUKCYJA

PRZYSZŁA dziewczyna do redakcji i zapytała, czy nie ma tu przypadkiem wolnego etatu. Nie, ona nie myśli o pracy dziennikarskiej — dodała pośpiesznie — wystarczyłoby jej zupełnie zatrudnienie w charakterze sprzątaczk. Niedawno skończyła pomatralne studia reklamy i w żaden sposób nie może znaleźć pracy zgodnej z wyuczoną zawodem. Wystąpiła się już wiele godzin w monstrualnych kolejkach do wydziału zatrudnienia, obeszła lubelskie domy kultury, instytucje społeczne, przedszkola i szkoły — nie z tego, dla takiego fachowca roboty nie ma. Co mnie podkusiło — rzuciła gwałtownie — aby pójść na reklamę?

Program takiego studium obejmuje wiele przedmiotów z zakresu plastyki. Tymczasem w kraju istnieje ponadto około 30 średnich szkół plastycznych, których absolwenci, pomijając pewne specjalistyczne specjalizacje, są przygotowani do pracy w dziedzinie reklamy, na ogół totosamej w praktyce z wykonywaniem dekoracji, planów informacyjnych itp. Takie rzeczy potrafią też robić ludzie kończący sześć naszych uczelni artystycznych oraz, na przykład, słuchacze Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS, który, mając profil pedagogiczny, daje przecież podstawy do wykonywania zawodu plastyka. Szkolnictwo tego rodzaju mamy zatem rozbudowane, w niektórych uczelniach zwiększono nawet w tym roku limit przyjęć na pierwszy rok studiów. Ten rozkwit tłumaczy się potrzebami kadrowymi naszej gospodarki i kultury.

W rzeczywistości sprawa przedstawia się zupełnie inaczej: absolwentom wszystkich wspomnianych szkół coraz trudniej uzyskać stałe zatrudnienie, a na rynku plastyki użytkowej, ożywianym do roku 1980 licznymi zleceniami instytucji i przedsiębiorstw, panuje głęboki kryzys, będący pochodną ogólnej depresji gospodarczej kraju. Mo-

żna powiedzieć, że wielu młodych malarzy, grafików, rzeźbiarzy, architektów wnętrz czy projektantów form przemysłowych znalazło się w sytuacji bezradności. Dotyczy to zresztą i artystów średniego, i starszego pokolenia, ustabilizowanych dotąd materialnie.

W związku z tym podnosi się głosy dwójki rodzaju: członkowie ZPAP domagają się ograniczenia naboru na studia plastyczne, co w rzeczywistości mogłoby doprowadzić przynajmniej do złagodzenia wiadomego kryzysu, natomiast niektórzy publicyści o tzw. szerokiej perspektywie humanistycznej są zdania, że produkcja artystów powinna się utrzymywać na obecnym poziomie — ze względu na dobro kultury narodowej, której nigdy za dużo ludzi z wyższym wykształceniem.

Osobiście podzielam zdanie zwolenników. Przyjęcie drugiego wariantu doprowadziłabym bowiem nie tyle do ochrony potencjału kulturowego społeczeństwa, co do morderczej, amoralnej walki o byt, połączonej z frustracją setek, a może tysięcy ludzi zbitych, zawiedzionych i biedujących.

Ten dramatyczny problem ujawnia się szczególnie ostro w minionych kilkunastu miesiącach, ale w granice rzeczy istniał on w postaci utajonej czy lagodniejszej, zawsze, na pewno od połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to zanikła potrzeba wykonywania wielkich wielkocyfrowych portretów przywódców i pokrywania fasad budynków detalami rzeźbiarskimi. Nadprodukcja plastyków była faktem uchwytanym na płaszczyźnie codziennosci, ale ci, którzy planowali rozwój naszego szkolnictwa artystycznego, rzadko chyba zniknęli się do tego poziomu, jeśli twierdzą, że wzrost liczby studentów dyktowany jest przez potrzeby społeczno-gospodarcze kraju. Wiele gorzkie słów na ten temat mogłoby na przykład powiedzieć absolwenci wojennego przemysłowego, zmniejszającego w akademickich w latach sześćdziesiątych. Gwałtem przybywało nam fabryk, unowocześniano technologie, próbowano wchodzić na rynki zagraniczne — ale jednocześnie ten nasz cały postępowy przemysł bronił się dzielnie i skutecznie przed zatrudnianiem projektantów form technicznych.

Nawet sztuka ujawnia absurd naszej gospodarki, planowania i statystyki. I pada ich ofiarą.

IJK

EKRAN I WIDZ

PRAWDY I PÓŁPRAWDY

NA początku listopada Telewizja Polska przypominała film, który już dawno zszedł z ekranów kinowych, nakręconą we Francji chyba z górą dwadzieścia lat temu przez Titusa Vibe Müllera i Joan Drecille, „Bitwę o ciężką wodę”. Treścią tego „dramatu wojennego” jest autentyczny epizod z czasów II wojny światowej, uwieczniona pełnym sukcesem próba zniszczenia przez komandosów brytyjskich fabryki tzw. „ciężkiej wody” w Norwegii, wówczas znajdującej się pod okupacją niemiecką. „Ciężka woda” miała niezwykle ważne znaczenie przy pracach nad wyprodukowaniem bomby atomowej. Chodziło o to, aby niszczyć fabrykę, opóźnić badania uczonych niemieckich pracujących intensywnie nad rozbięciem jądra atomu uranu.

Müller i Drecille mieli przed sobą zadanie ambitne, choć najeżone niebezpieczeństwami popadnięcia w łatwe efekciarstwo, w sensacyjność, w epatowanie widza pirotechniką oraz zrecenzionowymi popisami filmowymi komandosów-smiałków spadających z osnieżonych górskich szczytów „niczym orły” na wytyczony cel. Na szczęście, kręcąc „Bitwę o ciężką wodę”, twórcy poszli w kierunku fabularnego dokumentu (czy też może: „dokumentalizowanej” akcji fabularnej?), kładąc główny nacisk na ukazanie historycznej prawdy o akcji komandosów w Norwegii, na przybliżenie widzowi ówczesnych wypadków i zapoznanie go z istotą problemu. Więcej: swoją filmową opowieść historyczną rzucili na tło całego wielkiego międzynarodowego konfliktu. Wiodąc publiczność górkimi ścieżkami Norwegii w kierunku fabryki „ciężkiej wody”, ukazując codzienny, nieefektywny trud komandosów, wprowadzili jednocześnie akcję równoległą: fragmenty autentycznych kronik filmowych z owych dni pokazywały, co działo się na frontach, w sztabach wojennych, o czym myśleli i mówili przywódcy stojących naprzeciw siebie narodów. W „Bitwę o ciężką wodę” najważniejszy więc był dokument. Fabuła stanowiła w tym filmie warstwę pomocniczą, wspierającą. Była sprawą umowną. Służyła przybliżeniu prawdy historycznej, a nie —

przetworzeniu faktów historycznych w jakąś artystycznie uzasadnioną prawdę uniwersalną. I — o paradoksie! — „Bitwa o ciężką wodę” wcale mimo to nie traciła cech dzieła sztuki...

Oglądając ten film, przypomniałem sobie od razu pierwsze powojenne dzieło René Clémenta, nakręconą przez niego w 1945 r. słynną „Bitwę o szynę”, film o ruchu oporu wśród francuskich kolejarzy. Na pewno było w nim więcej szerokiego oddechu, więcej pasji twórczej, dzięki której zahuczał nieczym ekspres na światowych ekranach. Ale przecież „dokumentalistyczna” opowieść Clémenta miała to samo założenie co film Müllera i Drecille — ukazanie historycznej prawdy, stworzenie pewnego dokumentu, przy posłużeniu się możliwie najbardziej prostym, najbardziej „bezosobowym” wątkiem fabularnym.

Dwa lata wcześniej angielski reżyser Charles Frend budował akcję filmu „San Demetrio” w oparciu o autentyczną historię brytyjskiego tankowca storpedowanego przez niemiecką łódź podwodną, a następnie ocalałego przez część załogi, która, ratując się na szalupach, trafiła po wielu godzinach krążeń po morzu na własny, płonący statek. W 1955 r. Andrzej Munk w swym pierwszym fabularnym filmie, „Błękitnym Krzyżu”, sięgnął również do autentycznych wydarzeń z czasów okupacji: działalności członków „pogotowia tatrzańskiego” w podhalańskim ruchu oporu. Choć autentyczne wydarzenie było w tym wypadku punktem wyjścia do mówienia o prawdach uniwersalnych, reżyser zrealizował przecież swoją „fabułę”, posługując się metodą dokumentalną: dał w „Błękitnym Krzyżu” wizerunek uczuć patriotycznych, stanu ducha, przekonań oraz morale tamtejszych Polaków. Zagrali w filmie, nawiasem mówiąc, poza jednym wyjątkiem, sami „naturszczycy”. Niektórzy z nich brali kiedyś udział w takich, jak pokazana w „Błękitnym Krzyżu”, akcjach.

Liczne filmy z ostatnich lat, szerokoekranowe, barwne, pełne niezwykłych „przygód” filmy wojenne, szczególnie te o akcjach komandosów: „Działo Nawarony”, „Tyko dla orłów”, „Parszywa dwunastka” czy też „Ucieczka na Atenę” — z dokumentem epoki, z prawdą o czasach i ludziach, o których jakoby opowiadają, mają w istocie niewiele wspólnego. Głoszą półprawdy, często — ćwierć prawdy, spowite w efektowne opakowanie. Tak też należy je odbierać i oceniać.

Podobnie zresztą, jak warto nauczyć się rozróżniać prawdy, półprawdy i ćwierćprawdy, które przynosi nam codziennie nasz stały, domowy „szklany gość”.

M. D.

POCZTA LITERACKA

Władysław B. Otwinów, woj. Tarnów. Nie wiem, czy pisze Pan liryki, a jeżeli tak, to ciekawi mnie jakie one są. Nadesłane wiersze czerpią przede wszystkim z zdarzeń — tych krajowych i tych dochodzących do nas ze świata. Idea przewodnia jest w nich przejrzysta, na ogół dobrze przeprowadzona. Cóż jednak o nich mam Panu powiedzieć — a tego w liście Pan się domaga: za często wkłada się do tych wierszy publicystyka i ona im szkodzi. Może więc sięgnie Pan po motywy i weźmie się trochę za plewienie chwastów w uprawianym przez siebie ogródku, a w ich miejsce posadzi sadzonki szlachetniejszego pochodzenia. Nawet najbardziej polityczny temat nie usprawiedliwia wtrętów, zestawów słów z gazetą.

Seweryn B. Lublin. Spóźnił się Pan o trzy pokolenia. Pisze Pan tak, jak to było przyjęte w okresie Młodej Polski. Wówczas utwory te zwróciłyby uwagę władz, teraz są jedynie zapisem własnego odczuwania świata i odbierania bliskiej osoby. Musi Pan więc zachować je dla własnej prywatności.

Józef B. Wyszok. Oj, nie napracował się Pan nad swoimi fraszkami! Nie skorzystamy. Stanisław M. Krasnik. Proza, która Pan nadeślał, zachęca do literackich „Kamieni” do dalszych kontaktów z Panem. Niech Pan jeszcze coś nam prześle, a następnie —

przy okazji — wstąpi do redakcji. Jest o czym podyskutować.

Maria Sz. Lublin. Z częścią Pani poglądów o poezji się zgadzam. Bronię Pani poezji dobrej i dobrej. Warto, naprawdę warto, być jej rzecznikiem. Równocześnie pisze Pani: „proszę o ocenę, o pan sądzi o tych z rymami wierszach — T.J. w moim wydaniu”. Dobrze to o nich myśleć nie mogę, ale — zapewniam — nie dlatego, że są „z rymami”. Powód jest zwykły. Zastanawiała Pani rymy złe, nawet bardzo złe i sużyła przez wielu moich korespondentów. Wypiszę tu kilka zestawień: handlowy — kartkowy, wielu — portfelu, kasz — masz, używki — rozrywki, połowę — głowę, stos — los, żyła — bycia, słodka — końca, ehlaba — trzeba, moc — noc, taxi — maxi: itd, itp. Teraz, kiedy zobaczyła Pani te skojarzenia w druku, straci Pani do nich swe autorskie serce, prawda?

Anna B. Krasnik. To pięknie, że Pani nie tylko dostrzega talenty u swoich uczniów ale próbuje też utworzyć im drogę do ujawnienia się. W wierszach rekomendowanego nam 17-latk „coś jest”. Trudno mi jednak po tym tryptyku zorientować się, ile owe „coś” jest warte. Znajduję w tych wierszach sporo zapożyczeń, głównie filozoficznych. Dochodzenie do własnych poglądów i wyraża artystyczne bywa jednak długie i żmudne. Nie czynię więc z tego zarzutu, stwierdzam jedynie fakt. Może Pani podopieczny ujawni się i przekaże więcej utworów, a potem znowu porozmawiamy?

TJ

„Spór o ścianę?”

„Szwoleżer II Rzeczypospolitej”

Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze „Prasa – Książka – Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 8 tel. 433-36
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4 PL ISSN 0137-7108 Nr indeks. 04251 Adres redakcji: 20-025 Lublin, ul. Skłodowskiej 7A
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 253-93 sekretarzy redakcji 216-93, dział publikacji i korektury 775-35
Korespondencja: zwłoka, prosimy, kierować pod adresem: „Prasa – Książka – Ruch” ul. Unicka 4, 20-001 Lublin
N-1